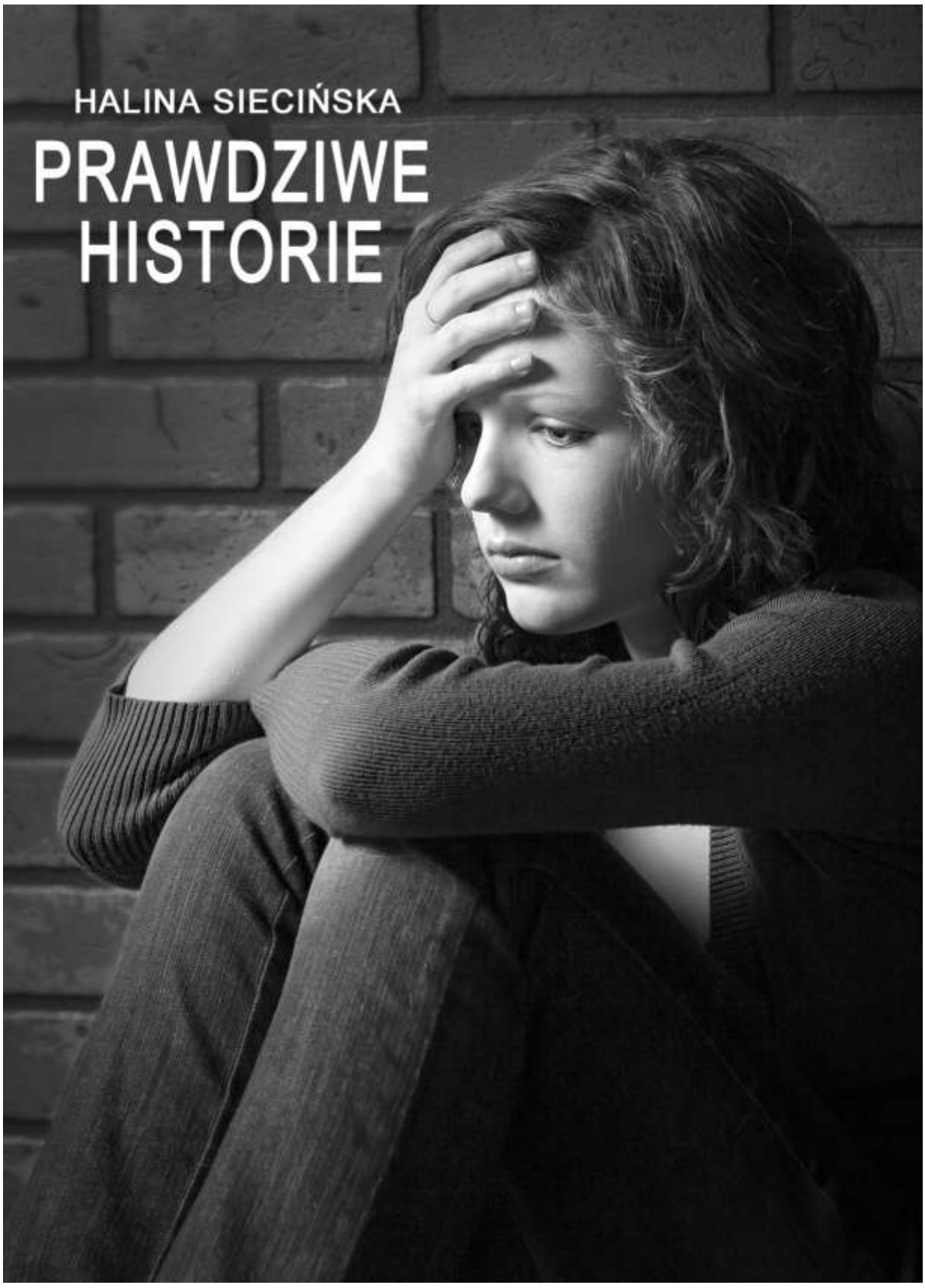
HALINA SIECIŃSKA
PRAWDZIWE
HISTORIE

Drogi Czytelniku!

Te historie opowiedziały mi kobiety z miasteczek i wsi, gdzieś w Wielkopolsce. Spisywałam je przez lata moich reporterskich wędrówek. Ich bohaterki zawsze podkreślały, że trudne epizody życia dawały im siłę i pokazywały co w zwyczajnej codzienności jest najważniejsze. Dziękuję im za szczerość.

HALINA SIECIŃSKA
siecinska@me.com

Ciocia Jadzia

W każdym domu dałoby się opowiedzieć o trudnym życiu przynajmniej jednej osoby. Zwłaszcza jeśli żyją w niej osoby starsze, które przetrwały wojnę, biedę, czasem wykluczenie. W mojej rodzinie znalazłabym przynajmniej trzy takie rodzinne historie. Dwie dotyczą bliskich mojej mamy - cioci Jadzi i jej dzieci oraz kuzynki Irki. Trzecia to historia siostrzeńca mojego ojca. Oczywiście nie wszystkie można „przelać na papier", bo niektóre życiowe „zakręty" są zbyt bolesne, aby je ujawniać, ale macie rację, że każda historia czegoś nas uczy. Pomyślałam, że moja ciocia Jadzia mogłaby nauczyć siły, pracowitości, pogody ducha i tej niezwykłej wiary w to, że każdy następny dzień może być lepszy od poprzedniego. Zawsze mi to powtarzała, a nawet jeśli nie mówiła, to całym swoim życiem potwierdzała tę tezę.

Ciocia Jadzia ma 86 lat. Może nie uwierzycie, ale od wczesnej wiosny do jesieni można ją spotkać jadącą na rowerze. A jedzie albo na cmentarz, albo na działkę. Z domu ma na tę działkę około czterech kilometrów, więc codziennie robi sporą rowerową trasę. Nie zauważyłam, aby trudno jej było wsiadać na rower albo żeby się na nim przewracała. Widzę czasem, jak zatrzymuje się, by porozmawiać ze znajomymi. Kiedy tylko mnie zauważa, zaraz kiwa ręką i oczywiście zaprasza na pogaduszki.

O życiu cioci Jadzi mogłabym powiedzieć, że było ciężkie. Urodziła się przed wojną na wsi i była najstarsza z rodzeństwa. Ich ojciec został powołany na front i już nie wrócił do domu. Mama sama wychowywała pięcioro dzieci. W 1945 roku Jadzia miała prawie dwadzieścia lat. Bieda w domu aż piszczała, więc oczywiście dzieci musiały szukać pracy. Jadzia jeździła po okolicznych wsiach i zarabiała parę złotych na tydzień. Albo wracała na noc do domu, albo przesypiała kątem u rolników. Moja mama opowiadała, że ciocia Jadzia była śliczną dziewczyną. Niestety, takiej jej nie pamiętam, bo odkąd pojawiła się w moim życiu, zawsze miała spracowane ręce,

zmęczoną twarz, proste, zaczesane do tyłu włosy. No i ubierała się skromnie, bo przecież nie było pieniędzy na żadne ciuszki. Najczęściej nosiła je po kimś.

Szokiem dla wszystkich było, że Jadzia zaszła w ciążę. Bliscy wiedzieli, kto jest ojcem przyszłego maleństwa, ale on sam gdzieś zniknął. Nie chciał zakładać rodziny ani płacić na wychowanie dziecka. Dziś pewnie nikt nie robiłby z tego wielkiej tragedii, a rodzice wzięliby córkę z wnukiem do domu, ale wtedy to było nie do pomyślenia. Na wsi tę biedną Jadzię chcieli zwyczajnie „zaszczuć", a ona sama nie wychodziła z domu tygodniami. Wiem, że to był najtrudniejszy okres w jej życiu. Rozmawiamy czasem o tamtych latach i nie mogę wyjść ze zdumienia, że kiedy mówi o oczekiwaniu na swoje pierwsze dziecko, zawsze się uśmiecha. Ona do dziś pamięta, jaka była szczęśliwa w tych swoich zamkniętych czterech ścianach. Mówi mi, że na zewnątrz widziała pogardę, złość, kpinę, a w swoim pokoju tylko oczekiwanie. Pamięta, jak z flaneli tygodniami robiła pieluszki dla synka. Bo urodził się chłopczyk. Ale nie tam na wsi. Stamtąd musiała uciekać.

I właśnie wtedy trafiła do nas. Moja mama nie mogła patrzeć, jak wszyscy wokół wytykali Jadzię palcami, jak rodzeństwo miało jej za złe tę opinię i jak jej własna matka nie mogła pogodzić się z tą sytuacją. Takie to były czasy. Jadzia przyjechała więc do nas na kilka lat. Wtedy mnie nie było jeszcze na świecie. Nic dziwnego, że nie pamiętam, jaka była ładna i jak sama wychowywała synka. To też były trudne chwile w jej życiu, ale o wiele spokojniejsze. I wyobraźcie sobie, że nagle po kilku latach odszukał ją brat jej chłopaka. Tego, który był ojcem synka. Zaproponował jej małżeństwo. Obiecał dać chłopcu nazwisko, uznać go za syna, wychować.

Kiedy już byłam panienką, nieraz pytałam ciocię Jadzię, czy pokochała męża. Bo to, że pobrali się bez miłości, było oczywiste. Oni się w ogóle nie znali, nie spotykali się wcześniej. Po prostu zawarli kontrakt. Ciocia mieszkała wtedy w wynajętym małym mieszkaniu, pracowała fizycznie. To małżeństwo mogło jej

pomóc „stanąć na nogi”. No więc kiedy pytałam ją o miłość, zawsze tak dziwnie patrzyła. Jakoś tak ciepło, jakby daleko. Nie powiedziała mi, co czuła, ale często mówiła o mężu. On ją chyba pokochał naprawdę. Żyli tak skromnie, jak tylko sobie można wyobrazić. To już pamiętam, bo czasem razem przychodzili do nas. Moja mama wtedy mówiła, że cieszy się, bo Jadzia zjadła prawdziwy obiad. Musiało być im ciężko. Ale najgorsze było jeszcze przed ciocią. Urodziła wujkowi dwie córeczki i kiedy młodsza miała trzy latka, zdarzył się wypadek. Wujek zginął na miejscu.Moja ciocia Jadzia znowu została sama. Ciągle w tym małym mieszkanku, ciągle w biedzie. Wtedy już rozumiałam, co przeżywa. I widziałam tę jej walkę o każdy następny dzień. To wówczas mówiła mi, że będzie lepiej, że jutro też zaświeci słońce, że dzieci dorosną... miała rację, dzieci rosły. Nieraz myślę, że ludzie tamtego, wojennego pokolenia byli silniejsi. I że łatwiej było im się cieszyć z każdej małej rzeczy. Ona cieszyła się, gdy mój tato zawoził jej koszyk jabłek albo kiedy z mojego starego sweterka robiła na drutach kamizelki dla dziewczynek. Marzenia też miała małe, takie zwyczajne, żeby nie było gorzej.

Wyobraźcie sobie, że ciocia Jadzia poznała jeszcze mężczyznę swojego życia. Na weselu, u rodziny. Pobrali się, mieli syna. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie alkohol. Kiedy wujek nie pił, był najlepszym z mężów i ojców, ale kiedy pił.... no cóż, cioci Jadzi nie było pisane szczęście.

Znowu widziałam ją na tym rowerze, jak jechała kilka dni temu na cmentarz. Byłam zdumiona, bo przecież jeszcze było bardzo zimno, a ona już zrzuciła ciepły płaszcz. Uśmiechała się do mnie. - „Będzie dobrze” - krzyknęła. Pomyślałam, jak ten jej los się kręci. Dzieci wyjechały i tylko najstarszy syn mieszka z rodziną niedaleko. Ona pochowała dwóch mężów i znowu jest sama. Duże mieszkanie zamieniła na pokój z kuchnią. Jest jak kiedyś, w skromnych swoich czterech ścianach. Tyle tylko, że nie ma biedy, na szczęście. Zresztą teraz to już dzieci by na to nie pozwoliły. Ale uśmiecha się jak zawsze i pracuje jak zawsze. Mówi, że z przyzwyczajenia. A ja myślę, że po prostu taka jest - silna, pracowita, gospodarna. I niech tak będzie.

Moja rodzina

Może dobro nie potrzebuje opisania, bo jest takie zwyczajne, normalne i nikogo nie dziwi. A nieszczęście wywołuje emocje i porusza ludzi. No a poza tym, zwierzenia w chwilach trudnych pomagają, dają nadzieję, czasem zwrócą uwagę na coś z czym trudno sobie poradzić. Chyba dlatego tyle osób mówi o najtrudniejszych momentach swojego życia. O tym jak je przetrwali i jak ich losy potoczyły się dalej.

A ja chciałabym wam opowiedzieć o mojej rodzinie, która dała mi poczucie bezpieczeństwa i zwyczajnie nauczyła kochać. Niby tak niewiele...

Moja mama umarła kiedy miałam sześć lat. Pamiętam bo potem przez wiele miesięcy byliśmy z tatą sami. Z tamtego okresu wspominam przede wszystkim wizyty u babci. Babcia mieszkała jakieś dwa kilometry od nas. Szło się do niej przez park, a właściwie taki mały lasek. Zawsze w niedzielę odwiedzaliśmy babcię, zaraz po obiedzie. Pamiętam, że tata zabierał cukierki albo pączki, które dla nas piekła sąsiadka. Babcia wiedziała, że przyjdziemy i stała przed domkiem, żeby widzieć nas już z daleka. To była mama mojej mamy. Myślę, że kochała nas także za swoją córkę, jakby w dwójnasób. Nie wyobrażaliśmy sobie, aby którejkolwiek niedzieli nie pójść do babci.

A potem mój tata się ożenił. Przyznaję, że był to dla mnie szok. Ciągle byłam małą dziewczynką tatusia i wydawało mi się, że przez całe życie będziemy tylko we dwoje. Kiedy więc przyprowadził do domu panią Ewę, czułam, że coś się skończyło. Wtedy myślałam, że po prostu przestał mnie kochać. To były najtrudniejsze dni od czasu gdy pożegnałam moją mamę.

Zapytacie dlaczego o tym mówię, skoro miało być dobrze i pogodnie?

Ano dlatego, by wam opowiedzieć, za co pokochałam moją drugą mamę. Bo pani Ewa została nią naprawdę.

Byłam już dorosła, gdy dowiedziałam się, że przed ślubem żona mojego taty postawiła mu warunek, że nie będą mieli dzieci, przez co najmniej dwa, trzy lata. Ten czas miał być wyłącznie dla mnie. Wtedy o tym nie wiedziałam, ale czułam, że jestem ważna nie tylko dla taty. To Ewa odrabiała ze mną lekcje, siadała przy łóżku, gdy byłam chora, czytała mi książki. Z nią robiłam naleśniki, dla całej naszej trójki i zaprawy latem. I z nią chodziłam do babci. Wyobrażacie sobie, że moja druga mama nigdy nie powiedziała, że jest zbyt zmęczona, by w niedzielę iść pieszo do sąsiedniej wsi. Chodziliśmy jak zawsze, póki babcia żyła. Po raz pierwszy powiedziałam do niej „mamo" kiedy byłam w czwartej klasie. Dla mnie wtedy było to oczywiste. Ona płakała ze wzruszenia. Chyba już wówczas ją kochałam.

A za co jeszcze kocham moją mamę?

Najpierw urodził się mój brat, a dwa lata później siostra. Brat jako dziecko był bardzo słaby. Do dwóch lat nie chodził, jeszcze dłużej nie mówił. Mama przerwała pracę zawodową i cały czas poświęcała wyłącznie nam. Nie słyszałam, żeby się skarżyła. Może z ojcem niejedną noc przegadali o kłopotach i chorobach, ale nam nigdy nie dali odczuć, że jest ciężko. A łatwo nie było. Tata pracował na całą naszą piątkę, często brakowało pieniędzy, a mimo to mówiliśmy sobie, że jesteśmy bogaci. Tak to wtedy czułam. Kochałam mamę za to, że chociaż to jej synek był chory i mogła oddać mu się bez reszty nie zapomniała o mnie. Ja byłam tak samo córeczką, jak moja młodsza siostra. Przytulała nas, gdy tego potrzebowałyśmy i karciła gdy byłyśmy niegrzeczne. Bo przecież i to się zdarzało. Pamiętam jak musiała wysłuchiwać uwag na wywiadówkach, za trochę gorszy okres mojej nauki. A brat wyzdrowiał i wyrósł na fajnego chłopaka.

Mama jest bardzo dobrym człowiekiem. Nieraz sobie myślę, że na nią nie zasłużyliśmy, ani tata, ani ja. Przyznaję, że tata bywał trudny, chyba z powodu tej ciągłej bieganiny za pracą, może z przemęczenia. Ale jak tylko chciałam mamie powiedzieć, że jest wyjątkowa, to się denerwowała. Twierdziła, że za miłość się nie

dziękuje i że ona jest po prostu taka jak powinna. Zwyczajnie jest mamą. Dla mnie jest kochaną mamą. Kto wie, może moja pierwsza mama, tam u góry, zadbała żebyśmy mieli prawdziwy dom.

Mama mieszka z moją siostrą. Całkiem niedaleko od nas. Tata niestety już odszedł na zawsze. Jeżdżę do nich często, bo pamiętam wizyty u babci i to święto kiedy tam do niej chodziliśmy. Czasem dla wspomnień kupuję też pączki. Mama wie, co wtedy chcę jej powiedzieć. A za to, że mnie rozumie też ją kocham.

Mój mąż

Nigdy nie pracowałam zawodowo, poza krótkim okresem zaraz po szkole. Właśnie w pracy poznałam swojego przyszłego męża. I to on nakłonił mnie, abym zajęła się domem, a zarabianie pieniędzy pozostawiła jemu. Miałam mieć dobrze, wygodnie i bezproblemowo. Naprawdę wierzyłam, że tak właśnie będzie.

Mój mąż miał kierownicze stanowisko i pewnie dlatego nie chciał, aby w jednym zakładzie spotykała się rodzina. Obawiał się, że pracownicy będą mu zarzucać, że mnie wyróżnia i że lepiej traktuje żonę niż pozostałych podwładnych. Rozumiałam to, choć próbowałam znaleźć pracę w innej firmie. Ale właśnie wtedy zaszłam w ciążę, więc uzgodniliśmy, że do pracy wrócę, jak trochę odchowam dziecko.

Kiedy urodził się Jasiu, byłam najszczęśliwszą mamą na świecie. Nie było rzeczy, której nie poświęciłabym dla maleństwa. Było oczywiste, że zajmę się nim sama, bo mąż nie miał już rodziców, a moja mama była chora. Z radością zostałam więc w domu i cały swój czas poświęciłam rodzinie. Chyba wtedy byłam tak naprawdę szczęśliwa. Ale radości przybywało. Po roku urodziłam córeczkę, a po trzech latach chłopców - bliźniaków. Nagle dostałam od losu dużą wspaniałą rodzinę. A miałam przecież dopiero dwadzieścia pięć lat. Kiedy dziś wracam pamięcią do tamtych czasów, widzę siebie ciągle zabieganą i zmęczoną. Nie to, żebym narzekała albo skarżyła się, ale zwyczajnie świat zaczął się kręcić wyłącznie wokół najbliższych. Ja się wtedy nie liczyłam. Może to była moja wina, bo nie oczekiwałam od nikogo pomocy i nie prosiłam o nią, ale bywały dni, że nie wiedziałam „w co ręce włożyć". Nigdy jednak nie uważałam mojego losu za zły. Miałam i mam cudowne dzieci. Dziś jestem babcią, i to najszczęśliwszą z babć.

Zapytacie więc, dlaczego opowiadam tę historię? Taką zwyczajną, jakich tysiące? Odpowiem szczerze - po to, aby coś ważnego do tej historii dodać. Coś,

czego razem z mężem nauczyliśmy się dopiero po kilkudziesięciu latach wspólnego życia.

Mąż nie był łatwym partnerem.

Po pierwsze, prawie nigdy nie było go w domu. Miał rzeczywiście odpowiedzialną pracę i zawsze podkreślał, że musi pracować więcej, skoro jest nas aż szóstka w rodzinie. Rozumiałam to, ale bolało mnie, że na co dzień nie interesowały go problemy dzieci. To ja chodziłam na wywiadówki, ja wzywałam lekarza, jak któreś zachorowało, ja kupowałam rzeczy dla nich. Mąż wkraczał wyłącznie wtedy, gdy trzeba było dzieci skarcić. Bałam się, że tata będzie im się kojarzył tylko z klapsem lub karą, jaką im wyznaczał. Nieraz miałam wrażenie, że zamiast go kochać bały się taty.

A po drugie, mąż nie traktował mnie jak partnera. Nie „wtrącał się do mojej domowej działki", ale też nie dopuszczał mnie do swojego życia. Nigdy nie opowiadał mi o pracy, nie zwierzał się, nie radził. Wręcz przeciwnie, podkreślał, że się nie znam, że brak mi wykształcenia, że nie powinnam się wtrącać. Czułam się jak kopciuszek w domowych kapciach. A do tego jeszcze często się obrażał i stosował tak zwane ciche dni. Bardzo mi wtedy było ciężko. A przy tym wszystkim wiedziałam, że przecież nas kocha. Nie szukał atrakcji poza rodziną, nie zdradzał mnie, nie oszukiwał. Miałam też zawsze pieniądze, dzieciom niczego nie brakowało.

Zbliżała się emerytura, kiedy stało się najgorsze. Mąż ciężko zachorował. Nagle znalazł się w szpitalu i cały jego zawodowy świat się zawalił. Wiadomo było, że do firmy już nie wróci. Nie było nawet pewności, czy przeżyje, a jeśli tak, to czy będzie sprawny. Wtedy nasze życie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. Chłopcy byli już poza domem i tylko córka mieszkała z nami. Obie podporządkowałyśmy codzienność mężowi i tacie. Każdego dnia jeździłyśmy do szpitala na zmianę. Myłyśmy go, karmiłyśmy, goliłyśmy. Ja przesiedziałam przy mężu niejedną noc. Nie wiem, czy wiedział, że go głaskałam, mówiłam do niego, opowiadałam o dzieciach, o wnukach.

Całowałam go, jak nigdy w codziennej, normalnej krzątaninie. Ale chyba wiedział, a na pewno czuł. Kiedy odzyskał przytomność, też przy nim byłam. A potem kolejny tydzień, kolejny miesiąc. Widziałam, jak przyjmuje moją pomoc i opiekę. Na początku z niedowierzaniem, nawet ze skrępowaniem, że jestem aż tak blisko, tak intymnie. Potem z wdzięcznością, a w końcu z miłością. Coś się w nim przełamało.

Nie wiem, czy uwierzycie, ale mój mąż wyzdrowiał. Oczywiście musi na siebie uważać, jest na diecie i pod stałą kontrolą lekarzy, ale funkcjonuje normalnie. Jest już na emeryturze, mieszkamy tylko w dwójkę. Jakie więc teraz jest moje życie?

Powiedziałam na początku, że dopiero po kilkudziesięciu latach wspólnego życia czegoś się nauczyliśmy. Wydaje się, że to taka zwyczajna wiedza, o tym że ważna jest rodzina, szacunek, miłość. Ale my nauczyliśmy się też, że nie wolno marnować już ani jednej godziny. Żal nam wszystkich cichych dni, żal, że nie jeździliśmy na urlopy, że nie opowiadaliśmy sobie o każdym przeżytym dniu. Teraz jakby to nadrabiamy. Oczywiście nie mamy już przed sobą wielu wspólnych lat, ale te, które przed nami, będą na pewno piękne, choć zwyczajne. Jeśli więc ta historia komuś się przyda, będziemy dodatkowo szczęśliwi. My nie żyjemy już obok siebie, a ze sobą. Nawet starość nam w tym nie przeszkadza.

Pani Stasia

Zawsze kiedy zbliżają się święta Bożego Narodzenia, pani Stasia wspomina swoje dzieciństwo. Może dlatego, że było takie trudne i że każda kolejna Gwiazdka dla niej łączyła się z tęsknotą. A może stąd, że porównuje je ze świętami swoich dzieci i wnuków i cieszy się, że oni mają normalne, ciepłe domy. Właśnie teraz, przed Bożym Narodzeniem, zaprosiła nas na rozmowę. Oczywiście wspominała.

Stasia urodziła się na wsi. Była najmłodszą z rodzeństwa, brat miał 10 lat, a siostra o trzy lata mniej. Ojciec Stasi jeszcze przed wojną wyjechał za pracą do Francji. Raz tylko przyjechał na urlop i właśnie wtedy mama zaszła w ciążę. Nie widział Stasi, kiedy się urodziła. Mama sama wychowywała całą trójkę. A były to bardzo trudne czasy. Wybuchła wojna, mama chodziła do pracy w polu, przy domu hodowała krowę, kury, uprawiała ogród. Mieszkali w domku z gliny, oczywiście bez żadnych wygód. Po ciężkiej zimie w 1941 roku we wsi była powódź. Topniejący śnieg zalał większość budynków. Mama Stasi przenosiła co się dało do stodoły, nie patrząc na to, że po kolana jest w wodzie. Nic dziwnego, że zachorowała na zapalenie płuc. Wkrótce zmarła. Dzieci zostały same w swojej gliniance. To wtedy z sąsiedniej wsi przyjechał wujek, brat mamy. Zabrał ich do siebie i babci. Był kawalerem i sam prowadził gospodarstwo. Stasia miała wtedy dwa lata.

U wujka Stasia spędziła pięć lat. Pamięta, jak przez okno w piwnicy widziała uciekających Niemców, jak zbierała kamienie na polu, jak na zawsze odeszła babcia. I pamięta jeszcze, że wujek remontował z jakichś resztek cegły dom gliniany po mamie, do którego potem przeprowadził się brat z siostrą. Ale kiedy skończyła się wojna, a ona została z wujkiem sama, ten zdecydował, że odda ją do Domu Dziecka. Nie mogła nic zrobić, gdy ją odwoził.

Tuż po wojnie takich domów dziecka było w kraju sporo. Trafiały do nich dzieci, które straciły rodziców lub zagubiły się w czasie wojennej zawieruchy.

Wszystkie były sobie obce, skrzywdzone przez los. A w domach panował rygor, niemal wojskowy. Dzieci musiały być najedzone, chodzić do szkoły i wywiązywać się z obowiązków. Nikt nie dbał o to, czy tęskniły, przeżywały stratę, czuły się opuszczone. Stasia mówi, że raz w tygodniu zmieniano im sukienki, a jeśli któraś z dziewczynek poplamiła ją, to musiała pozostawać w pokoju aż do czystej zmiany. Nigdy niczego nie dostali w prezencie. Nawet w Boże Narodzenie. Ale Stasia mimo wszystko dobrze wspomina tamte gwiazdki. A to dlatego, że na święta zabierała ją pewna rodzina. Sami mieli ósemkę dzieci, a jeszcze przygarnęli Stasię do siebie. Byli biedni, jednak choinkę zawsze stroili. To wtedy Stasia czuła się szczęśliwa. Po trzech latach kilkoro dzieci przeniesiono do innego domu. Jeszcze dalej. Tylko raz przyjechała do niej siostra. To było wówczas, gdy szła do Pierwszej Komunii Świętej. Ona jedna miała w czasie tej uroczystości gościa. Do pozostałych dzieci nikt nie przyjechał. Jedno Boże Narodzenie spędziła u księdza proboszcza.

Stasia skończyła 13 lat. Wtedy nieoczekiwanie dostała wiadomość, że ojciec wrócił z Francji. Mogła więc pojechać do domu. Wracała sama, z kartką na szyi, żeby nie pomyliła pociągów. Na dworcu czekał na nią brat. Jechała do ojca, którego wcześniej nigdy nie widziała. On też nie znał swoich dzieci, nigdy nie kochał ich, nie przytulał. Brat i siostra wrócili do wujka, ona do rodzinnego domu mamy. Ten dom był dla niej zupełnie obcy. Tata ożenił się po raz drugi, więc panią domu została nieznajoma kobieta. Tak naprawdę nikt tu na nią nie czekał. Czy mogła czuć się szczęśliwsza?

Rok później skończyła siódmą klasę i zaraz musiała iść do pracy w PGR. Najpierw sezonowo, a potem na stałe. Pieniądze zabierała oczywiście druga mama. Z tego czasu Stasia wspomina jedno miłe zdarzenie. W gospodarstwie zakładano prąd i do tej pracy przyjechała ekipa remontowa. Jeden z mężczyzn ciągle jej się przyglądał. Okazało się, że był to chłopak z Domu Dziecka. Przebywał tam z siostrą w tym samym czasie, co Stasia. Dużo sobie opowiedzieli.

Potem Stasia jeszcze przez trzy lata ciężko pracowała w cegielni.

Najszczęśliwszym dniem w jej życiu było spotkanie przyszłego męża. Na dożynkach. Od pierwszego wejrzenia wiedzieli, że są sobie przeznaczeni. Ślub wzięli po trzech miesiącach znajomości. I znowu Stasia borykać się musiała ze swoim złym losem. Zamieszkali u jej ojca i drugiej mamy, w jednym małym pokoiku. Ale dobrze nie było. Rodzice nie pozwolili im korzystać z kuchni, nie dali sprzętów do pokoju, nie pomagali w niczym. A na świat przyszła dwójka ich dzieci. Dopiero po czterech latach mąż Stasi dostał pracę w gospodarstwie, w innej wsi. Tam było też małe mieszkanie. Wyprowadzili się. A sąsiedzi obdarowali ich prezentami. Jeden dał króliki, inny kurę, ktoś masło, od pewnej rodziny dostali meble kuchenne. Nareszcie Stasia mogła postawić nogi pod własnym stołem.

Pani Stasia z mężem jeszcze dwa razy zmieniała mieszkanie. Wspólnie wychowali pięcioro dzieci. Mają wnuki i prawnuki. A do swojego domu na święta zapraszali dziewczynkę z Domu Dziecka. Po raz pierwszy przyjechała do nich, gdy miała 7 lat. Potem przenieśli ją dalej, ale i tak czasem bywała u nich na soboty i niedziele. Już jako dziewczyna wyprowadziła się na północ Polski. Pisała, dzwoniła, przyjechała do nich ze swoim mężem. Chciała pokazać bliskim, gdzie spędzała szczęśliwe chwile. Podobnie jak mała Stasia.

Dziś, kiedy pani Stasia jest babcią, coraz częściej myśli o tym, by pojechać zobaczyć dawny Dom Dziecka. Nigdy tam później nie była. Podobno jest dom opieki dla osób starszych. Może warto przespacerować się alejkami w parku?

Pani Stasia jest najszczęśliwsza, kiedy do domu na święta przyjeżdżają bliscy. Oni wiedzą, że razem z mężem zawsze na nich czekają.

Waldek

Waldka znałam właściwie od zawsze. Pochodziliśmy z tej samej miejscowości, a że był on tylko dwa lata starszy ode mnie, chodziliśmy też razem do szkoły podstawowej. Przyjaźniliśmy się jak większość dzieci z podstawówki. Razem bywaliśmy na wycieczkach, na kolonii, często wspólnie bywaliśmy nad jeziorem. Rodzice Waldka mieli prywatny zakład budowlany, a więc kiedy dorósł, musiał pomagać na niejednej budowie. Ja miałam dużo łatwiej. Przede wszystkim byłam jedynaczką i w domu wszystko „kręciło się" wokół mnie. Mama nie pozwalała mi nic robić. Musiałam się tylko uczyć i uczyć. Nauka nie sprawiała mi zresztą żadnych kłopotów. Nic dziwnego, że moi rodzice wymyślili dla mnie swój scenariusz na życie. Miałam pójść na studia, tam znaleźć dobrego męża, może kupić mieszkanie w mieście...

A ja zwyczajnie pokochałam Waldka. Mieliśmy wtedy niecałe dwadzieścia lat. Waldek skończył Technikum Budowlane, a ja liceum. On zaczął pracę u ojca. To nie było łatwe zajęcie. Pracował ciężko fizycznie, czasem do późnych godzin wieczornych, często był zmęczony, niewyspany. Kiedy przychodził do nas, nie bardzo umiał się znaleźć w tym naszym wymuskanym świecie. Mama ciągle mówiła o moich studiach, o tym co będę robić za kilka lat, o planach na ich starość. Waldek nie miał odwagi powiedzieć im, że my mamy zupełnie inne pomysły na życie. Chcieliśmy jak najszybciej być razem, a to w pewnym sensie przekreślało marzenia mojej mamy. Rodzice nie widzieli Waldka przy moim boku. Myślę, że nawet tego nie brali pod uwagę. Zawsze traktowali go tylko jak mojego kolegę z klasy. W końcu jednak trzeba im było o tym powiedzieć.

Rodzice nie chcieli słyszeć o naszym małżeństwie. Nie pomagały żadne argumenty, a już najmniej ten, że się kochamy. Mama przekonywała mnie, że to tylko dziewczęce zauroczenie, że jeszcze nie raz się w życiu zakocham, że są

ważniejsze sprawy niż szybkie zamążpójście. Chodziło jej oczywiście o moje studia i zawód, który miałam zdobyć przed założeniem rodziny. W pewnym sensie ją rozumiałam, ale nie mogłam się zgodzić na zerwanie z Waldkiem. A rodzice właśnie tego chcieli. Powtarzali mi, że to mąż nie dla mnie. Sytuacja w domu stawała się naprawdę trudna. Mama oczekiwała, że nie będę się z Waldkiem spotykać, a ja nie chciałam jej okłamywać i wymykać się do ukochanego. Postanowiłam wyjechać na stałe do mojej cioci. To była siostra taty, z którą zawsze miałam dobre kontakty. Ciocia zgodziła się, abym u niej zamieszkała, a ja obiecałam, że będę się dalej uczyć.

Przyznaję, że rozpoczęłam naukę w pomaturalnej szkole i to zaocznie. Poszłam bowiem do pracy, bo nie chciałam, żeby utrzymywała mnie ciocia. Po roku do miasteczka, gdzie mieszkałam, przyjechał Waldek. Też znalazł tam pracę. Spotykaliśmy się niemal codziennie. Ja od początku wiedziałam, że Waldek jest moją miłością na życie. Ani przez moment nie pomyślałam, aby z niego zrezygnować. Przez kilka pierwszych miesięcy ciocia nie wiedziała, że Waldek jest tym chłopakiem, którego rodzice chcieli mi wybić z głowy. Pozwalała, by do nas przychodził, polubiła go, akceptowała nawet jako przyszłego narzeczonego. I wtedy oczywiście musieliśmy powiedzieć jej prawdę. Ale ciocia stanęła po naszej stronie. Za bardzo nas kochała, aby pozwolić nam od niej odejść.

W miasteczku cioci wzięliśmy ślub cywilny. Rodziców poinformowałam, że jestem żoną i że planuję, ślub kościelny zorganizować w rodzinnym domu. Nie mówiłam tylko, że moim ukochanym jest Waldek.

To była najtrudniejsza podróż do domu. Kochałam rodziców bardzo i cierpiałam z tego powodu, że muszę ich okłamywać. Kochałam Waldka i za żadne skarby świata nie oddałabym tej miłości. A jednak wydawało mi się, że będę musiała wybierać. Więc jechałam do domu „z duszą na ramieniu". Modliłam się, żeby rodzice mnie zrozumieli, żeby pokochali Waldka, żeby nas przyjęli.

Do dziś pamiętam mamę stojącą w drzwiach domu. Czekała na nas, bo przecież miała poznać swojego przyszłego zięcia. Chciała też wyprawić nam ślub. Mama stała i patrzyła na nas. Nigdy nie zapytałam jej co wtedy myślała i czy choć przez moment poczuła się oszukana. Bo trwało to zaledwie sekundy, gdy wróciła do domu, wzięła sól i przywitała nas tą solą na progu. Wiedziałam, że mnie kocha.

Ślub oczywiście odbył się w mojej wsi, u mojej mamy. Prawie trzydzieści lat temu. Zamieszkaliśmy u rodziców Waldka, bo kiedy zachorował jego ojciec, Waldek musiał przejąć zakład. Mamy dwoje dzieci, już dorosłych. Od niedawna jestem babcią. A moja mama mieszka ciągle niedaleko nas, w tej samej wsi. Jesteśmy u niej codziennie. Aż boję się myśleć, jak mogłybyśmy się od siebie oddalić, gdyby wtedy mama nie przyjęła nas z otwartym sercem. Jednak jestem szczęściarą. A mamą i babcią też jestem szczęśliwą. Naprawdę, nie można od życia chcieć więcej, nawet, jeśli czasem jest „pod górkę".

Ojciec

Pochodzimy ze wsi. Moja mama tam się urodziła i tam poznała swojego przyszłego męża. Po ślubie zamieszkali u mojej babci. Na wsi urodził się najpierw mój brat, a potem ja. Piszę o tej wsi i domu mojej babci, bo tylko tam byliśmy szczęśliwi. Do dziś pamiętam zabawy na podwórzu, namioty robione ze starych koców i mnóstwo zwierząt. Zawsze były tam psy, kilka kotów i kury, które wchodziły nawet na próg domu. Dziś wydaje się to takie zwykłe i takie skromne, ale wtedy był to nasz cały świat. Bezpieczny świat. Później nie raz do tego świata uciekaliśmy.

Kiedy miałam osiem lat, rodzice przeprowadzili się do miasta. Po raz pierwszy mieliśmy swoje mieszkanie z łazienką. Brat był tak szczęśliwy, że każdego dnia przyprowadzał innego kolegę, żeby mu pokazać swój własny pokój. Bo miał swój tapczan, swoje biurko, potem nawet swój magnetofon. Wydawało się, że tak będzie już zawsze. Ale zło miało się dopiero zacząć. A przyszło razem z wódką. Tata zaczął pić. Na początku nawet nie tak często, może raz, dwa razy w miesiącu. Później już co tydzień, czasem przez kilka kolejnych dni. Mama nie miała siły się buntować. Kiedy nie pracowała, ciągle czekała na tatę, czasem do późnej nocy. Zawsze miał obiad, wyprane rzeczy, pełną lodówkę. A kiedy poszła do pracy, bo przecież zaczęło brakować pieniędzy, uciekała z domu. Mówiła, że ma nadgodziny, że przyjęła jakąś dodatkową pracę, że musi zostawać w firmie dłużej. Myślę, że się go bała. Na pewno nie chciała z tatą spędzać zbyt wiele czasu.

Ale my z bratem nie mieliśmy dokąd uciekać. Po szkole wracaliśmy do domu, w którym było coraz gorzej. Tata nas bił. I właśnie wtedy najbezpieczniejszym miejscem na ziemi był domek naszej babci. Wiele razy pakowaliśmy rzeczy wieczorem i ostatnim autobusem jechaliśmy na wieś. Mama oczywiście z nami.

Babcia zawsze nas przyjmowała, nawet, jeśli był to środek nocy. U niej nigdy nie bałam się przed snem. Chyba dlatego tak tę wieś kocham.

Babci już oczywiście nie ma, ale jej mieszkanie na wsi zostało. Tam mieszka moja mama. Wyprowadziła się od taty wiele lat temu, gdy babcia jeszcze żyła. Zamieszkały razem. Teraz mama jest sama i ani myśli wracać do miasta. Mówi, że nie potrafi zapomnieć tego całego zła, które przyniosło jej miasto. Tak naprawdę to nie miasto jest winne, tylko tata i alkohol, ale mama wiąże swój los z wyprowadzką. Mówi, że gdyby kiedyś nie wyjechali z rodzinnej wsi, ich życie potoczyłoby się inaczej. Kto wie, może ma rację?

Brat bardzo szybko wyszedł z domu. Najpierw był w wojsku, potem spotkał dziewczynę, ożenił się, nie wrócił do domu. Oczywiście przyjeżdża do mamy i do mnie, ale z tatą nie utrzymuje kontaktów. Twierdzi, że ciągle czuje te razy, które odbierał w dzieciństwie. A trafiały gdzie popadło, w głowę, w twarz, w plecy. Tego nie da się zapomnieć przez całe życie. On był najbardziej skrzywdzony. Mnie ojciec trochę oszczędzał.

W końcu i ja zostawiłam dom. Zabrałam tylko osobiste rzeczy i wyjechałam. Nie chcę mówić, co się ze mną działo i dlaczego nie zatrzymałam się u mamy, bo to zbyt osobiste sprawy, ale tatę pożegnałam na zawsze. Obiecałam sobie, że nigdy mu nie wybaczę. Uznałam, że go nie mam, że odszedł, że moje dzieci nie będą miały dziadka.

Mój ojciec parę miesięcy temu odezwał się do mnie. Cały czas wiedział, gdzie mieszkam, bo wcale tak daleko nie pojechałam, ale przez wiele lat milczał. Nie wiem, czy długo jeszcze pił, czy stracił wszystko co mu zostawiliśmy, czy ma ciągle pokój mojego brata? Nie wiem, bo też nie szukałam kontaktu z nim. Tak trudno mi uwierzyć, że tata tęskni do mnie. A właśnie tak napisał, że tęskni i chce się ze mną zobaczyć. To może jednak się zmienił?

Niejeden wieczór przegadałam z mamą i z bratem. Do nich tata się nie odezwał, tylko do mnie. Myślę, że jest samotny. Ma sześćdziesiąt lat i nikogo bliskiego przy sobie. Co ja mu powiem, jak się zobaczymy? Bo zobaczymy się na pewno. Ja muszę tylko jeszcze trochę pomyśleć, „przeżyć" tamte wspomnienia, o niektórych zwyczajnie zapomnieć.

A mama mówi, że ojciec zawsze nim będzie...

Pierwsza miłość

Moja ciocia Kazia urodziła się w 1928 roku. Mieszkała z rodzicami i starszym bratem w miasteczku tuż rynku. W tamtych, przedwojennych czasach trudno było utrzymać rodzinę, więc ojciec cioci pojechał za pracą do Francji. Kiedy się tam trochę urządził, sprowadził żonę i dzieci do siebie. We Francji zastała ich wojna.

Kazia miała wtedy jedenaście lat. Chodziła do szkoły podstawowej i przyjaźniła się z innymi dziećmi z polskich rodzin. Bo Polaków było w tej miejscowości sporo. Większość zaangażowała się we francuski ruch oporu. Ciocia Kazia wspomina, że ojciec często przebywał w lesie, a do domu zaglądał ukradkiem. Już wtedy wiedziała, że ryzykował życie.

Do lasu chodził też ojciec Jasia, dwa lata od niej starszego chłopaka z Polski. Obie rodziny bardzo się zaprzyjaźniły. Wszyscy marzyli, by wrócić do kraju.

I właśnie w tamtych trudnych wojennych dniach między Jasiem i ciocią Kazią rodziło się uczucie. Byli nastolatkami, ale wiedzieli, że to, co ich łączy, będzie czymś wyjątkowym. Bo, że to była wyjątkowa miłość, byli pewni obydwoje. Ciocia Kazia nawet dziś potrafi opowiadać o spotkaniach z Jasiem, o słowach jakie sobie mówili, o spojrzeniach. Pamięta je doskonale. Nie każdemu los daje taką miłość na początku życiowej drogi. Jej dał, a ona nigdy o niej nie zapomniała.

Pod koniec wojny Niemcy zamierzali rozprawić się z ruchem oporu. Poszukiwali wszystkich, którzy działali na rzecz wolności. Jeden z sąsiadów cioci Kazi w tajemnicy doniósł jej rodzicom, że okupanci przyjdą po ich rodzinę. Ponoć byli na liście do rozstrzelania. Rodzice nie mieli więc wyboru, musieli natychmiast uciekać. Podobnie zresztą jak rodzice Jasia. Zabrali najpotrzebniejsze rzeczy i nocą ruszyli w kierunku Polski.

To była najdłuższa i najtrudniejsza podróż cioci Kazi. Trwała tygodniami, była niebezpieczna, pełna niewiadomych, groziła śmiercią. Do tego ten potworny niepokój o Jasia. Nikt nie wiedział czy oni także zdążyli uciec i czy Niemcy ich nie dopadli. Nikt nie mógł dać żadnego znaku życia.

Kiedy ciocia Kazia wróciła do rodzinnego miasteczka, miała osiemnaście lat. Wojna się skończyła. To wtedy rozpoczęła poszukiwania Jasia. W Polsce, we Francji, przez Czerwony Krzyż. Pisała dziesiątki listów, rozmawiała z setkami osób, zbierała informacje. Wszystko na nic. Po kilku latach uwierzyła w najgorsze. Prawdopodobnie jej Jasia zabili Niemcy.

Życie musiało toczyć się dalej.

Moja ciocia Kazia jest bardzo pogodną osobą. Lubię z nią rozmawiać, wspominać. Opowiadała mi jak z rodzicami wyprowadzili się w jeleniogórskie, jak nauczyła się szyć, jak prowadziła Klub Praktycznej Pani. Często przyjeżdżała do nas na wakacje, więc przesiedziałyśmy niejeden wieczór. Mówiła także o tym, jak poznała swojego męża, jak założyła rodzinę. Ciocia ma dwóch synów, jest szczęśliwa. Jej mąż był dyrektorem firmy, bardzo interesuje się historią. Także tą z czasów wojny. Sądzę, że wiedział o istnieniu Jasia.

Mąż cioci Kazi po przejściu na emeryturę oprowadzał wycieczki po okolicy. Któregoś roku przyjechali tam Francuzi. Nie było tłumacza, więc poprosił o pomoc ciocię. Ciocia Kazia do dziś pięknie mówi po francusku. Oczywiście pomogła turystom. Okazało się, że jedna z Francuzek mieszkała w tym samym okręgu, w którym dzieciństwo i młodość spędziła ciocia Kazia. Miały sobie dużo do powiedzenia. Potem pisywały do siebie listy, zaprzyjaźniły się. Ta Francuzka zaprosiła ciocię do siebie. A była to końcówka lat osiemdziesiątych. Ciocia skończyła już sześćdziesiąt lat. Nie dziwię się, że bardzo chciała zobaczyć tamto swoje miasteczko, swój dom.

Pojechała do Francji.

Od miasta, w którym mieszkała jej przyjaciółka, do miejscowości, gdzie spędziła kilka wojennych lat, było zaledwie kilkadziesiąt kilometrów. Znała język, wiedziała, jak poruszać się po dworcach, w podróży - bez trudu dojechała do "swojego" dawnego domu.

Na tej ulicy zmieniło się niemal wszystko. Tylko ten jeden dom z czerwonej cegły stał tak jak pięćdziesiąt lat temu. Nic go nie zmieniło, ani wojna, ani czas.

Moja ciocia Kazia stała przed tym domem i patrzyła, patrzyła. Powiedziała mi, że przez głowę, ale i przez serce przechodziło jej całe życie. Jestem pewna, że po twarzy ciekły jej łzy. Nie odwracała się, nie wiedziała, co dzieje się obok. Usłyszała tylko stukot laski na chodniku. Ktoś wolniutko szedł obok.

W pewnym momencie starszy mężczyzna zapytał po francusku, dlaczego tak wpatruje się w ten dom. Powiedziała, że mieszkała tu kiedyś, że przeżyła tu swoją pierwszą miłość. I że wróciła, by pożegnać wspomnienia. Nie mogła uwierzyć, że mówi to obcemu mężczyźnie.

I wtedy stał się chyba cud. Ten obcy mężczyzna wyjął portfel, wyciągnął z folii pożółkłe zdjęcie i pokazał mojej cioci. To było jej zdjęcie, które kiedyś dała Jasiowi. I jej dedykacja.

Patrzyła na swojego Jasia.

Nie umiem opisać tego, co obydwoje przeżyli tamtego dnia we Francji. Kiedy ciocia opowiadała mi o tym, płakałyśmy razem. Ja ze wzruszenia, ona chyba dlatego, że cud zdarzył się naprawdę. Okazało się, że rodzina Jasia wyjechała tamtej wojennej nocy do Australii. Oczywiście trwało to miesiące, ale bezpiecznie zatrzymali się na drugim końcu świata. On też jej latami szukał i też w końcu uwierzył, że zginęła z rąk niemieckich oprawców. Wrócił więc do Francji i zamieszkał w tej samej, co przed wojną miejscowości. Ożenił się, ma czterech synów. Codziennie modlił się za swoją Kazię. I przez wszystkie te lata trzymał jej zdjęcie w portfelu. Tamtego dnia przed ich francuskim domem powiedział, że teraz może umrzeć.

Ciocia Kazia odwiedziła Jasia w domu. Poznała jego żonę, rodzinę. Teraz do siebie dzwonią, na święta, imieniny, czasem bez okazji. Obydwoje cieszą się, że los pozwolił im przeżyć wojnę, że mają pogodną starość, że są kochani. I że ciągle mogą wspominać to, co najpiękniejsze, pierwsze młodzieńcze uczucie.

Ciocia skończyła 83 lata. Kiedy zadzwoniłam do niej i zapytałam, czy mogę opowiedzieć jej historię, bez wahania się zgodziła. Uważa, że skoro Bóg tak pokierował jej ścieżkami, że zobaczyła przed śmiercią Jasia, to znaczy, że sam jest Jedną Wielką Miłością. Bez takiej miłości trudno żyć. Można więc też o niej szczerze mówić.

Ola

Od tamtych dni minęło sporo lat, a ja ciągle myślę, że mogliśmy dla Oli zrobić więcej. Trudno mi uwierzyć, że nie zauważyliśmy, jak cierpi, że woła o pomoc, jak jest jej bardzo źle. Ola po prostu obok nas była, bawiła się, czasem zaskakiwała, zdarzało się, że denerwowała.

Byłyśmy sąsiadkami. Ja mieszkałam na parterze kamienicy, ona na piętrze. Byłam od Oli cztery lata starsza, ale jako dziewczynki wychowywałyśmy się razem. Na podwórzu wszyscy byli równi. Zresztą, w tamtych czasach niewiele mogło nas różnić. Nosiłyśmy takie same sukienki, bawiłyśmy się podobnymi lalkami, razem z chłopcami kopaliśmy piłkę i urządzaliśmy wyścigi rowerowych obręczy pchanych zgiętym drutem. Kto to dziś pamięta? To przecież były lata sześćdziesiąte.

Ola zawsze lubiła się bawić. Już w szkole podstawowej było jej pełno. Jeździła na każdą wycieczkę, brała udział w zawodach sportowych, ładnie tańczyła. Z tego swojego piętra wpadała czasem do nas, by powiedzieć, że gdzieś biegnie lub po prostu, że dziś będzie fajny dzień. Kiedy dorosła przychodziła do mojego taty na papierosa. Czasem go częstowała, częściej prosiła, by dał jej jednego. W domu nie pozwalano jej palić.

Dom Oli był normalny. Mieszkała z rodzicami, siostrą i babcią. Dla mnie byli jakby lepsi. Mieszkali przecież na piętrze, rodzice pracowali w biurze, byli w lepszej sytuacji finansowej. My byliśmy biedni, ojciec pracował fizycznie, a popołudniami chodził “na fuchy”. Zawsze myślałam, że Ola ma cieplejszy dom. Dziwiłam się, że lubiła do nas przychodzić. Już wtedy powinnam się zastanowić dlaczego ucieka z domu, dlaczego przesiaduje u mnie.

Najgorsze zaczęło się, gdy Ola przerwała naukę w liceum. Dostawała dwóje, uciekała na wagary, nie przechodziła z klasy do klasy. Rodzice posłali ją do

wieczorówki. Tej też nie skończyła. Mimo to znalazła pracę w biurze, pomagała w archiwizowaniu dokumentów. A wieczorami bawiła się. I to było właśnie takie niezwykłe na tamte czasy. Ola się ładnie ubierała, malowała, tańczyła tak, że nikt nie mógł przejść obok niej obojętnie. Miała wielu znajomych, z niejednym gdzieś wychodziła, czasem na wieczór wyjeżdżała. Dziś nikogo by to nie dziwiło. Ale wtedy o Oli mówiło się dużo. Młodzi z sympatią i czasem z zazdrością, że nie potrafią żyć jak ona, starsi z oburzeniem. Druga córka rzetelnie się uczyła, poszła na studia, poznała przyszłego męża. A Ola po prostu była ładna i wesoła. Mój tata przepadał za jej towarzystwem.

Dziś myślę, że Ola chciała zwrócić na siebie uwagę. Coś złego musiało dziać się w jej sercu i duszy, że tak "głośno" żyła. Pamiętam jak kiedyś przyszła do domu po kilku lampkach wina i rodzice nie chcieli jej wpuścić. Wtedy ręką wybiła szybę w drzwiach. A rodzice zawołali pogotowie. Olę zabrano w fartuchu bezpieczeństwa. Krzyczała, coś tłumaczyła... dlaczego nie słuchaliśmy?!

Ja nigdy nie zamykałam drzwi do swego pokoju, nawet w nocy. Trudno to sobie teraz wyobrazić, ale nie bałam się, że ktoś wejdzie, coś ukradnie, czy zrobi mi krzywdę. Moi znajomi mogli po prostu wejść do korytarza i stamtąd prosto do mojego pokoju. Ola wiedziała o tym. Bywało, że zamiast do siebie, na piętro, przychodziła do mnie. Wkulała się na tapczan i przesypiała ze mną noc. Ale miałyśmy raptem po dwadzieścia lat, nic nie wiedziałyśmy o psychologach, terapeutach, poradniach. Może wystarczyłyby zwykłe pogaduszki, może ona potrzebowała usłyszeć, że ktoś się o nią martwi, ktoś ją lubi. Ja najczęściej robiłam miejsce na tapczanie i pozwalałam przespać noc. To było dużo, ale jak się potem okazało - niewiele.

Tamtego dnia byłam w Poznaniu. Wróciłam wieczorem i już przed domem czekała na mnie mama. Bez żadnych wstępów powiedziała, że Ola odeszła. Na zawsze. Sama podjęła taką decyzję.

Wszyscy spali, gdy położyła się na podłodze w kuchni. Otworzyła gaz, wzięła tabletkę nasenną, zaczęła pisać list. Widziałam ten list. Pierwsze litery były proste, potem coraz bardziej pisane wężykiem, w końcu same kreski. To ona przepraszała - rodziców, babcię, siostrę. Za ból jaki im sprawia, za to, że nie potrafiła powiedzieć o sobie, za... nie zdążyła dużo napisać.

Ola miała 23 lata kiedy pożegnała nas wszystkich. Nie poznała prawdziwej miłości, nie założyła rodziny, nie wiedziała ile szczęścia może dać macierzyństwo. Kilka razy w roku składam kwiaty na jej grobie. Na pomniku jest jej zdjęcie. Wygląda na nim tak, jak wtedy, ponad czterdzieści lat temu. Jest młoda, uśmiechnięta, piękna. Ja jestem już dziś babcią, a ciągle pamiętam i Olę, i tamte dni. I nie mogę pozbyć się uczucia, że ją zawiedliśmy.

Pewnie mnie słyszy, czasem z nią rozmawiam. Opowiadam jej o swoich problemach i radościach. Wspominam. Nie wiem, czy wierzy mi, że jej życie wcale nie zasługiwało na karę. Że miała prawo być sobą i przeżyć młodość na swój sposób. Była przecież dobrym człowiekiem. Jeśli słyszy, to pewnie też wybacza. Byliśmy obok niej, zamiast z nią. Czy to nas czegoś nauczyło..?

Pani Ewa

Nie wiem dlaczego, ale kiedy sięgam pamięcią wstecz zwykle przypominają mi się historie najtrudniejsze, takie które wywierają na człowieku ogromne wrażenie, których nie sposób nie przeżywać. Zdarzenia smutne i tragiczne zostawiają jakąś rysę w sercu, niekiedy mają wpływ na nasze życie, nawet jeśli nie dotyczą nas bezpośrednio. Bywa, że czegoś uczą, przed czymś przestrzegają. Moja mama zawsze mówiła, że każde przeżyte doświadczenie czyni nas bogatszym. Pamiętam, jak sadzała nas z bratem przy stole i wyjaśniała niejedną trudną historię. A było co wyjaśniać, bo akurat wśród naszych sąsiadów przynajmniej kilkoro zasługiwałoby na opisanie prawdziwej historii. Mnie w pamięci pozostała trudna codzienność pani Ewy.

Mieszkałam w małym kilkutysięcznym miasteczku. Zajmowaliśmy mieszkanie na końcu podwórza, a od ulicy mieszkały jeszcze trzy rodziny. Wszystkie na piętrze, bo na dole znajdował się duży sklep spożywczy. I właśnie z tego piętra jedno okno wychodziło wprost na miejsce naszych podwórkowych zabaw. To było okno z pokoju pani Ewy. Pamiętam ją jakby to było wczoraj. Wtedy, gdy ja chodziłam do szkoły podstawowej, ona miała może ze trzydzieści lat. Wychowywali z mężem trójkę dzieci. Ciągle ją widzę w tym oknie. Albo otwierała je i krzyczała, albo zatrzaskiwała, tak że czasem szyby wypadały. Dopiero później dowiedziałam się, że okno zatrzaskiwał jej mąż.

Bo mąż pani Ewy niemal codziennie pił. Nie wiem jak udawało mu się pracować, ale do pracy wychodził. Pani Ewa też pracowała, bo z pieniędzy męża nie mogłaby wyżyć. A i tak często pożyczała od mojej mamy, jak to się wtedy mówiło “do pierwszego”. Pożyczała, oddawała i znowu pożyczała. To wtedy mama tłumaczyła nam, dlaczego jedni mogą codziennie kupić chleb, a innym nie starcza. I dlaczego pani Ewa tak często płacze. Do dziś pamiętam, jak przez to okno na piętrze

wypadały garnki z ziemniakami, albo zupa. Nie mogłam zrozumieć, że pani Ewa pożycza pieniądze na jedzenie, a jej mąż to jedzenie wyrzuca. I robi przy tym tak dużo hałasu, dzieci płakały, pani Ewa krzyczała, on zatrzaskiwał okno.

Przez lata dorastałam z bratem w sąsiedztwie pani Ewy i jej problemów. Nieraz brałam jej maluchy na spacer, albo do ogrodu, żeby mogła odpocząć. Wtedy już zaczynałam rozumieć, że wrogiem tej rodziny jest alkohol. Był zawsze, każdego dnia. Chyba wówczas postanowiliśmy z bratem, że wódka nigdy nie będzie w naszym domu ważna. Jak tylko ktoś, już w dorosłym życiu, proponował "zakrapianą" imprezę, zaraz widzieliśmy to okno pani Ewy. A najbardziej scenę, która rozegrała się pewnej jesieni. Wtedy, jak zawsze, mąż pani Ewy przyszedł do domu pijany. Coś go zdenerwowało, bo zaczął wyrzucać wszystkie rzeczy z szaf. Ale nie wystarczyło mu samo rzucanie, wziął nożyczki i przecinał każdą sukienkę, płaszcz, swetry. I to wszystko lądowało przez okno na podwórze. Nigdy nie zapomnę przerażenia w oczach pani Ewy.

Pytaliśmy mamę, jak takie doświadczenie może uczynić coś dobrego? Komu? I dlaczego przy tym musiały cierpieć dzieci pani Ewy? My też byliśmy przestraszeni.

Nie będę udawać, że tamte rozmowy w dzieciństwie były takie mądre i takie pedagogiczne. Ale przecież pamiętam je do dziś. Musiały więc być ważne. Może los pani Ewy nauczył nas cenić rodzinę, spokój, miłość? Może jej dzieci nigdy nie sięgnęły po alkohol? Może, mimo wszystko, potrafiły stworzyć dla swoich pociech inny dom?

Ale zanim "odeszły" na swoje musiały przeżyć jeszcze jedną tragedię. Pamiętam, że starszy syn pani Ewy chodził już do średniej szkoły, kiedy rozegrał się ten dramat. To on tamtego dnia przyszedł pierwszy do domu po zajęciach. I to on zobaczył ojca z sznurkiem na szyi. Ojciec już nie żył.

Nigdy nie rozmawiałam z panią Ewą o tamtym strasznym dniu. Nawet, kiedy już byłam dorosła. Ale często spotykam jej synów i córkę. Z córką pani Ewa

mieszkała w tamtym mieszkaniu przez całe jeszcze lata. Tam też wychowuje się jej wnuczka. Okno jest ciągle to samo, podwórze też. I tylko wspomnienia coraz słabsze i coraz mniej bolesne.

Sąsiadka

Kiedy przeczytałam wspomnienie o młodej dziewczynie, która nie znalazła przyjaznej duszy ani w domu, ani wśród życzliwych jej sąsiadów, natychmiast pomyślałam o mojej dawnej sąsiadce. To oczywiście zupełnie inna historia, ale także prawdziwa. Zdecydowałam się o niej napisać, bo również czegoś uczy. W pewnym sensie mówi o podobnej samotności, niezrozumieniu, złych decyzjach.

Moja sąsiadka była dużo ode mnie starsza. Ja chodziłam do liceum, a ona była już mężatką. Miała około trzydzieści lat. Przede wszystkim była piękna. Mówię to bez przesady, bo jej uroda naprawdę zwracała uwagę, nie tylko mężczyzn. Miała piękne, czarne włosy, była wysoka, szczupła, zawsze uśmiechnięta. Wtedy wydawało mi się, że ciepło, które z niej bije, czerpie z małżeństwa. Że jest najszczęśliwszą, kochaną żoną. Do dziś pamiętam jak opalała się w ogrodzie, a mąż co chwilę przynosił soki, owoce, kanapki. Pamiętam jak przytuleni chodzili do kina, na spacery. Mąż świata poza nią nie widział. Nie pozwolił jej pracować, zatrudnił panią do pomocy w domu, sam robił zakupy. W tamtych szarych i trudnych czasach życie tej pary rzeczywiście było wyjątkowe. Ja myślałam, że ona wygrała los na loterii. Marzyłam, o tym, by kiedyś też spotkać takiego mężczyznę, by mieć pięknie urządzone mieszkanie, jak oni, wokół wielu znajomych. Nie ukrywam - zazdrościłam jej szczęścia. I może tylko to, że nie miała dzieci psuło obraz tych moich marzeń o przyszłości. Bo oni nie mogli doczekać się potomstwa. A ja już wtedy uważałam, że prawdziwe szczęście daje rodzina, najlepiej duża, z gromadką maluchów. Tak, jak było w moim domu.

Nigdy nie zapomnę tamtego popołudnia. Wracałam ze szkoły i już z daleka widziałam mojego sąsiada. Biegał to w jedną, to w drugą stronę, wchodził do naszego mieszkania, do sąsiadów obok, o coś pytał, tłumaczył. Myślałam, że zdarzył się wypadek, że może coś strasznego stało się jego żonie. Byłam tego niemal pewna,

bo kiedy podeszłam bliżej widziałam łzy w jego oczach. Potem mama powiedziała mi o co chodzi. Nasza sąsiadka wyprowadziła się. Rano podjechał pod dom duży ciężarowy samochód i robotnicy przez kilka godzin ładowali sprzęty, naczynia, rzeczy. Podobno zabierali wszystkiego po połowie, połowę mebli, połowę pościeli, serwisów. Załadowali i odjechali. Nasza sąsiadka również. Nikt o tym wcześniej nie wiedział. A najsmutniejsze było to, że takiego dnia nie spodziewał się jej mąż. Jak zwykle wrócił do domu, otworzył drzwi i... zobaczył pustkę. To był szok. Dlatego biegał, pytał, nie mógł zrozumieć. W to jedno popołudnie zszarzał, jakby się skulił, potem posiwiał.

Długo się u nas o tym mówiło, tym bardziej, że mój sąsiad piastował dość eksponowane stanowisko. Ludzie mu współczuli, starali się pomagać zapomnieć. Wtedy byłam oburzona na sąsiadkę. Jak mogła skrzywdzić tak zakochanego w niej mężczyznę, jak mogła zrezygnować z takiego wspaniałego życia? Dzisiaj, po latach, myślę sobie, że w jej sercu musiały kotłować się wątpliwości. Może wcale nie chciała tak żyć? Może czuła się jak w "złotej klatce", z której nie ma wyjścia? Może chciała normalności, kłopotów, obowiązków? Kto wie, czy nie czuła się samotna. Dziś już tak krytycznie jej nie oceniam. Czytając o Oli, która szukała zrozumienia, pomyślałam właśnie o mojej pięknej sąsiadce. Czy znalazła kogoś, kto ją przyjął, zrozumiał? Dokądś, albo do kogoś musiała przecież pójść.

Nie śledziłam tej historii dalej, bo sama wkrótce wyjechałam z domu. Ale po kilku latach historia sama przyszła do mnie. W sprawach służbowych pojechać musiałam do jednego z zakładów budowlanych w regionie. Miałam tam pracować, więc oprowadzono mnie po halach produkcyjnych. Nagle na jednym ze stanowisk zobaczyłam sąsiadkę. Była w drelichowym kombinezonie, w gumowych butach, ciężko pracowała. Poznała mnie, schyliła głowę. Chciałam jej powiedzieć, że nie musi się wstydzić, że to przecież był jej wybór, że jest potrzebna. Ale nie mogłam wywoływać sensacji. Kiedy wyjeżdżałam ona stała przy bramie. Powiedziała mi tylko, że wtedy nie miała żadnego zawodu, nic nie umiała, nie mogła znaleźć pracy.

A to drugie życie “nie wyszło”. Nie miałam odwagi zapytać, czy kiedykolwiek żałowała i czy dziś raz jeszcze wyprowadziłaby się z tak luksusowego domu? Zapytałam tylko, czy jest sama. Była sama, mieszkała w sąsiednim miasteczku, w jednym pokoju z kuchnią. Wydawało mi się, że też jest jakaś skulona i szara. Ale piękna była mimo to.

Marynia

Czytając prawdziwe historie opowiadane przez czytelników pomyślałam sobie, że warto czasem pamiętać nie tylko te tragiczne, czy smutne, ale także dobre. One też budują nasze życie i mówiąc szczerze jest ich więcej. Dla mnie taką dobrą historią, która szła ze mną przez całe dzieciństwo i młodość była Marynia.

Nikt z dzieciaków nie wiedział jak Marynia się nazywa. Nikt zresztą po nazwisku się do niej nie zwracał. Marynia, to była Marynia. I już.

Kiedy ja byłam dzieckiem Marynia miała około 60 lat. Dzisiaj ja mam tyle, więc Maryni na pewno już nie ma. Ale ze mną jest. Pamiętam ją w zapinanym fartuchu, który niemal zawsze zakładała na długą spódnicę i bluzkę. Była dość tęga, więc chodziła wolno, jakoś tak dostojnie. Bardzo lubiłam patrzeć jak wdrapuje się do tego swojego małego mieszkanka.

Bo to mieszkanie miało coś z magii. Nie wiem, czy dziś ktokolwiek mieszkałby w takiej "dziurce". Całe lokum zajmowało może z dziesięć metrów. Kuchenka miała dwa metry na metr, a pokój najwyżej trzy na trzy. Wchodziło się tam bardzo wąskimi schodami, tuż nad pralnią. Oba pomieszczenia miały jednak okienka, jedno na ogród, drugie na podwórze. Kiedy już weszło się tam na górę, to ten świat na parterze był jakiś inny, daleki. Na pewno mniej ciekawy. Bajkowo było u Maryni.

Boże, jak ja marzyłam żeby kiedyś mieć taki pokoik! Było w nim łóżko, kaflowy piec, stary fotel i mnóstwo różnych bibelotów. Godzinami mogłam oglądać obrazki na ścianach, jakieś figurki, kolorowe serwetki, poduszki, które Marynia robiła z nici, fotografie. Przez myśl mi wtedy nie przechodziło, że to jest najuboższy pokoik w tej części miasteczka. Marynia po prostu była biedna. A dla mnie i moich rówieśników była najważniejsza.

Do Maryni chodziło się zawsze. Kiedy któreś z nas zadrapało na podwórzu kolano, biegło do Maryni. Jak trzeba było się poradzić, Marynia była do tego najlepsza. Pamiętam, jak u Maryni układaliśmy życzenia ślubne dla naszej sąsiadki i jak u niej organizowaliśmy próby gwiazdkowego przedstawienia. Do dziś zachodzę w głowę, jak my się tam wszyscy mieściliśmy. Jedni siadali na podłodze, inni na łóżku, ja najczęściej na parapecie okna. Stamtąd widziałam ogród.

Te wspomnienia z mieszkania Maryni są jak lekarstwo na całe zło. Rodzice wtedy pracowali, nie było świetlic, żadnych kawiarenek, nawet telewizorów. W moim domu było radio, ale u Maryni tylko "kołchoźnik". Kto dziś pamięta taką skrzynkę, przez którą płynęła muzyka i czasem jakieś oficjalne komunikaty? A u Maryni był. I zawsze było tam ciepło. To prawdziwe, z kaflowego pieca i to, które dawała Marynia. Do dziś czuję, jak robiło się ciepło, kiedy przytulała mnie do swego brzucha. Te wspomnienia zostały mi na całe życie. Dużo później dowiedziałam się, że i moi rodzice, i inni sąsiedzi z podwórka pomagali Maryni na co dzień. Przede wszystkim dawali jej pracę. A to prała w pralni pod mieszkaniem, a to pieliła w ogrodzie, a to szła na grzyby. I zarabiała w ten sposób, bo innej pracy nie miała. Ale przynosili też drewno do pieca, czasem placek jak któraś z sąsiadek akurat piekła, moja mama darowała jej te fartuchy na zmianę. Wszyscy wiedzieli, że do niej chodzimy. I cieszyli się z tego. U Maryni mogło nas spotkać tylko dobro.

Czasem myślę, że Marynia nas też potrzebowała. Nie miała bliskich, nikt do niej nigdy nie przyjeżdżał. Wtedy oczywiście o tym nie myśleliśmy, ale może dawaliśmy jej radość, może czuła, że jest potrzebna? Nieraz chłopcy robili jej psikusy, czasem nawet byli niegrzeczni, ale to właśnie było normalne, jak w rodzinie. Może my byliśmy jej rodziną? Jeśli tak, to daliśmy Maryni coś najcenniejszego w życiu.

Często Marynię wspominam. Opowiadam o niej moim wnukom. Są jeszcze małe, więc trudno im zrozumieć, że był kiedyś świat bez komputera, że graliśmy pod oknami Maryni w "buka", a ona nam kibicofwała. Że razem z nią w ogrodzie, w

dużym kotle smażyliśmy powidła. Moje wnuki słuchają tego jak bajki. A przecież Marynia była naprawdę. W moim sercu jest do dziś.

Niedawno pojechałam do rodzinnego miasteczka. Rzadko tam bywam, bo odkąd przeniosłam się w leszczyńskie mam do domu z dzieciństwa spory kawał drogi. Nikt z krewnych nie został w tamtych stronach, więc nie zaglądam tam często. Ale poszłam zobaczyć pokoik Maryni. Niestety, nie ma już tej dobudówki z pralnią, w ogóle ta część podwórza zniknęła. Jest tam jakiś warsztat rzemieślniczy. Nikt z pracowników nie słyszał nigdy o Maryni.

Muszę więc o niej opowiadać. O tym jaka była biedna, a równocześnie bogata. Jaka samotna i jaka otoczona ludźmi. Jaka zwyczajna i jaka piękna. Tak bym chciała spotkać Marynię w każdym domu i każdej zagrodzie.

Trudna droga

Spotkałam niedawno moją kuzynkę. Jest dużo ode mnie młodsza, prawie dwadzieścia lat. Kiedyś często się widywałyśmy, bo mieszkałyśmy, niedaleko – w tej samej miejscowości. Kiedy jednak wyszłam za mąż, wyprowadziłam się i przyjeżdżałam do rodzinnej wsi już tylko kilka razy w roku. Ona wtedy była młodziutka i właśnie poznała swego przyszłego męża. Myślałam o niej jak o młodszej siostrze. Martwiłam się, czy dobrze trafi, czy jej wybranek zapewni utrzymanie rodzinie, czy ją kocha?

Plotki mówiły, że chłopak jest rozrywkowy i że „praca się go nie trzyma". Ale mama mojej kuzynki uważała to małżeństwo za dobrą partię. Ciągle powtarzała, że na wsi nie ma co przebierać i że okazja na wejście do zamożniejszej rodziny może się drugi raz nie trafić. Dzisiaj takie argumenty wydają się śmieszne, ale ja piszę o latach sześćdziesiątych, o wiejskiej społeczności, gdzie dwudziestoletnia dziewczyna była już starą panną.

Spotkałam więc tę moją kuzynkę i nie mogłam uwierzyć, że jest ona naprawdę ode mnie tyle młodsza. Wyglądała niemal na staruszkę, a przecież nawet ja tak się jeszcze nie czuję. Zupełnie zszarzała, jakby się zmniejszyła i była przeraźliwie smutna. Wiedziałam, że coś musiało się stać. Szybko przypomniałam sobie całe jej życie. Nigdy nie było łatwe i nigdy nie chciała o nim opowiadać. Ale pewnych spraw nie dało się ukryć.

Zaraz po ślubie teściowie kupili im w sąsiedniej wsi mały domek. To nie było nic wielkiego, dwa pokoje i kuchnia. Pamiętam, że ciągle coś tam remontowali i na coś składali pieniądze. Pamiętam też, że mąż kuzynki wyjeżdżał do pracy, nieraz na cały tydzień. Czy to naprawdę była praca, nie jestem pewna. Wracał zwykle zmęczony, często nerwowy, niezadowolony. Wtedy jeszcze odwiedzałam ich częściej, bo kuzynka urodziła dwoje dzieci, a ja zostałam matką chrzestną ich

córeczki. I wówczas dużo widziałam. Sińce na rękach i twarzy kuzynki, połamane krzesła, kiedyś zbitą szybę. Dziewczyna nigdy się nie skarżyła, ale ja byłam już pewna, że jej mąż pije.

Miała zaledwie osiemnaście lat, gdy wychodziła za mąż. Nie mogłam jej darować, że nie poszła dalej do szkoły, nie zdobyła żadnego zawodu. Na pewno byłoby jej wtedy łatwiej. Kiedy mąż nie przynosił pieniędzy, zostawała bez niczego. Dziś wiem, że nieraz była głodna. Zastanawiałam się czasem dlaczego jej mama nie wzięła ich do siebie, dlaczego pozwala, by uciekały z domu i noce spędzały u sąsiadów. Nie chciała tego widzieć? Wstydziła się?

Kiedy dzieci trochę podrosły kuzynka dostała pracę w restauracji. Właściwie w takiej knajpce w sąsiedniej wsi. Nie w tej, w której kiedyś razem mieszkałyśmy, ale trochę dalej. Dojeżdżała więc tam codziennie po południu, nawet w niedziele. I już wtedy stawała się coraz bardziej szara i przygnębiona. Nam mówiła, że to tylko zmęczenie.

Stałyśmy na tej ulicy i patrzyłyśmy na siebie. Pytałam co się dzieje, a właściwie co się stało, bo wiedziałam, że coś musiało się stać. Przyznała się, że nie wytrzymała. Kilka miesięcy temu wyprowadziła się z domu. Zostawiła wszystko i po prostu wyszła. Z mężem od lat nie mogła się porozumieć. Pił, przyprowadzał kolegów, nie pracował. Dawała mu jedzenie, bo nie mogła patrzeć jak głoduje, ale to było wszystko, co ich łączyło. Chleb, herbata i talerz zupy. Wynajęła sobie mieszkanie. Płaci za nie i chodzi do tej swojej restauracji. Teraz już na pół etatu. A o krewnych stara się zapomnieć. Żeby nie opowiadać o kłopotach, nie przyznawać się do porażki i nie pokazywać jak przybywa jej lat. Tych na twarzy, na rękach, w sylwetce. Do mnie nie odezwała się od prawie trzech lat.

Ale co się stało?

Zaledwie miesiąc po tym jak wyprowadziła się z domu jej mąż popłynął łódką na ryby. Nie wie, czy był pijany. Dowiedziała się, że nie wrócił. Utopił się. Niemal

przez całe wspólne życie chciała, żeby ich zostawił. Marzyła o spokoju, o życiu bez wódki, a więc i bez niego. Ale przecież nie tak. Nie w taki sposób.

Długo rozmawiałyśmy tego dnia. Także o tamtych latach w rodzinnej wsi. O tym jak byłyśmy młode, jak planowałyśmy przyszłość. Nawet o tym jaka ona była wtedy ładna. I o błędach, których jakimś dziwnym trafem nie dało się uniknąć. No bo gdyby tak młodo nie wyszła za mąż, gdyby skończyła szkołę średnią, gdyby wcześniej wyprowadziła się z tamtej rudery na wsi, gdyby zmusiła męża do leczenia, gdyby szukała pomocy…

Tak naprawdę wcale nie jest jeszcze taka stara.

Na swoim

Magdalena zawsze mieszkała sama. Z rodziną była tylko jako dziecko, bo już po szkole podstawowej wyjechała do miasta. W internacie zamieszkała, kiedy nie miała jeszcze skończonych czternastu lat. Doskonale pamięta tamten czas. Na wsi była bieda, pracował tylko ojciec, a w domu żyło siedmioro dzieci. Magdalena była najmłodsza i jak to się na wsi mówiło "wyskrobek", bo urodziła się piętnaście lat po ostatnim, swoim bracie. Najpierw więc trzeba było dać zawód tym starszym, niektórych ożenić lub wydać za mąż, a dopiero na końcu zastanowić się jak urządzić przyszłość Magdzie. Ona jedna mogła liczyć na średnie wykształcenie. Wtedy w domu było ich już tylko troje, a rodzice od lat odkładali na jej pobyt w mieście. Magdalena mówi, że miała szczęście.

Nigdy na stałe nie wróciła już do rodzinnego domu. Były tam tylko trzy małe pokoiki. W jednym mieszkali rodzice, w drugim brat z żoną i dziećmi, w trzecim dwójka rodzeństwa i siostra z mężem. Na dobrą sprawę nie byłoby gdzie rozłożyć dla niej łóżka. Toteż kiedy przyjeżdżała na wakacje, czy święta, zabierała ze sobą dmuchany materac i rozkładała go przy łóżku rodziców. Bardzo lubiła te chwile, zwłaszcza wieczory kiedy rozmawiali godzinami i snuli plany na przyszłość dla Magdy. Już wtedy obiecała sobie, że będzie pomagać bliskim. To przecież jej udało się wyrwać z biedy i zobaczyć kawałek świata. Wtedy ten świat ograniczał się do dużego miasta, do kina i neonowych świateł. Jej siostrzeńcy i bratankowie jeszcze wiele lat nie byli dalej, jak w siedzibie gminy. Później Magda zwiedziła Polskę, jeździła na zagraniczne wycieczki, poszła na studia.

Najpierw zmarł ojciec, a kilka lat później mama Magdy. Kiedy teraz rozmawiamy o tamtych trudnych latach pięćdziesiątych Magda mówi, że największym jej szczęściem było to, że rodzice zdążyli zobaczyć jak żyje. Zdobyła bardzo dobry zawód, dostała małe służbowe mieszkanie. Często ich zapraszała i choć

także miała tylko jeden pokój wstawiła w nim dwa tapczany. Nie chciała rozkładać materaców kiedy przyjeżdżali. Byli z niej bardzo dumni.

Wspólnie rozmyślamy, jak minęły te wszystkie lata. Magdalena jest na emeryturze, ale przecież dopiero co jeździła na tę swoją wieś i przytulała każdego nowego członka rodziny. A to siostry rodziły dzieci, a to bratowe prosiły ją na chrzestną, to znów któregoś odwiedzała w szpitalu, wyposażała do szkoły. Mieszkała dość daleko od rodziny, ale o każdym wiedziała wszystko, każdego wspierała. Na wakacje przyjeżdżali do niej kolejno, po dwóch, trzech. Nikt nie odjeżdżał bez prezentów, niektórych wręcz musiała ubrać. Ukochaną ciocią była dla ponad dwudziestu siostrzeńców i bratanic.

Osobiste życie Magdaleny nie układało się. Nie chcę o tym pisać, bo to zupełnie inna historia. Zawsze więc była sama, choć nie samotna. Kiedy jednak przeszła na emeryturę, nagle zrobiło się wokół niej pusto. I wtedy wpadła na pomysł, by wrócić do swojej wsi. Akurat wtedy syn jednego z siostrzeńców - bo to już kolejne pokolenie bliskich - zamierzał się budować. To on przyjeżdżał do cioci i namawiał ją by budowali razem. Obiecał urządzić jej pokój, łazienkę, mówił, że będzie miała opiekę, że nigdy nie zostanie sama.

Magdalena złapała się tej nadziei, jak koła ratunkowego. Nie jest niezaradna, czy chora, ale powrót do domu był chyba jej marzeniem. Tam zostali rodzice, na cmentarzu są już groby siostry i dwóch braci, tam zna każdą ścieżkę, choć przez te lata wieś bardzo się zmieniła. Ale lasy obok wsi ciągle są te same. Przegadałyśmy niejedną godzinę o tym, czy robi dobrze, czy powinna sprzedać swoje mieszkanie, czy dać pieniądze, to na dach, to na okna.

Zainwestowała sporo; wszystko co zaoszczędziła przez lata i zaliczkę na poczet sprzedaży mieszkania. No i pojechała zobaczyć, jak idą prace.

Domek rzeczywiście się budował. Ale bardzo mały. Na razie bez pokoju dla niej. Młodzi powiedzieli jej, że póki co zamieszka nad garażem. Tam się wysprząta,

pomaluje i jakoś to będzie. Cioci przecież dużo nie potrzeba. Gdybym jej nie znała, nie uwierzyłabym, że mogła dać się oszukać. Ale wiem, że jest prostolinijna, że zawsze mówi, to co myśli, że wierzy ludziom. A już swoim bliskim, to właściwie bezgranicznie. Dlatego nie brała żadnych pokwitowań na pieniądze, nie spisała umowy,.

Magdalena dalej mieszka sama. Może jest tylko trochę bardziej "szara". Kiedy chcemy powspominać, mówimy o jej rodzicach, o wyjazdach na wieś - ja też tam kilka razy byłam - o studiach i pracy... O tym co dobre. Nigdy o pieniądzach. Magda nie chce uwierzyć, że to one podzieliły jej rodzinę. Jeśli więc pytam, co teraz, najczęściej odpowiada, że chciałaby młodym pokazać tamten świat pradziadków. Biedny, ciężki, ale z wartościami. Niestety, nie da się go przywrócić. Zresztą, czy oni potrafiliby w nim żyć?!

Moja siostra

Miałam bardzo szczęśliwe dzieciństwo. Mieszkałam z rodzicami i młodszą siostrą na wsi, ale niedaleko małego miasteczka. Moja mama zawsze mówiła, że dałoby się do niego czapką rzucić. Do szkoły chodziłyśmy więc pieszo, do kościoła też, nawet do objazdowego kina, bo takie przyjeżdżało przed laty do miasteczek. Dziś nikt już pewnie nie wie, co to takiego objazdowe kino, chyba, że ma tyle lat co ja. Czyli dużo. A mimo to pamiętam atmosferę tamtych seansów, spotkań z przyjaciółmi przed projekcją, no i oczywiście powrotów do domu, na tę małą wieś. Rodzice nie mieli za dużo pieniędzy, ale na bilet do kina dla mnie i dla siostry zawsze znaleźli. Nie muszę chyba tłumaczyć, że telewizji jeszcze wtedy nie było. Pierwszy telewizor pojawił się w miasteczku, w świetlicy jednego z zakładów pracy. Czasem można tam było oglądać „Kobrę".

Zapytacie dlaczego piszę tyle o kinie, jakby to nie wiem co było. No więc odpowiem, że dla nas, w latach pięćdziesiątych, to naprawdę był kawałek świata zza kurtyny. A dla mnie dodatkowo okazało się miejscem, gdzie poznałam chłopaka i przeżyłam pierwszą, prawdziwą miłość. Bo do tego objazdowego kina Wojtek przychodził tak samo często jak ja. Byliśmy oczywiście nastolatkami, ale znajomość przetrwała i po kilku latach zaczęliśmy chodzić ze sobą na poważnie. Nie wiem czy umiałabym dziś opowiedzieć o tamtym uczuciu, o naszych planach na przyszłość, o moim ogromnym oddaniu Wojtkowi. Minęło tyle lat, a ja w pamięci mam właściwie zupełnie coś innego. Do dziś słyszę, jak Wojtek któregoś wieczoru powiedział mi, że pokochał moją siostrę. I że ona także chce być z nim.

Spakowałam rzeczy i wyprowadziłam się z domu. Najpierw na wynajęte mieszkanie w miasteczku, a potem dużo dużo dalej. Mama jeszcze wówczas żyła więc pisywałyśmy do siebie. W każdym liście od niej miałam choć kilka zdań o siostrze. Nie prosiłam o to, ale mama i tak mi opowiadała. O ślubie Wojtka z siostrą,

o narodzinach ich dzieci, o wyjeździe Wojtka za granicę. Wiedziałam właściwie wszystko. Z mamą spotkałam się przez te lata zaledwie kilka razy. Z siostrą tylko raz, kiedy żegnałyśmy mamę na zawsze. Nawet wtedy nie mogłam jej wybaczyć. Sama nie wyszłam za mąż, nie założyłam rodziny, nie miałam bliskich. Chociaż oczywiście znajomych i przyjaciół mi nie brakowało, ale długo jeszcze myślałam jakby to było, gdyby Wojtek został ze mną. Czy miałabym szczęśliwsze życie, czy urodziłabym dzieci, czy zostałabym babcią? Bo dziś mogłabym być nawet prababcią.

Kilka lat temu wydarzyło się coś ważnego. Otóż moja siostra została wdową. Wtedy postanowiła mnie odszukać. To nie było takie trudne, dużo więcej kosztowała nas pierwsza telefoniczna rozmowa. Możecie sobie wyobrazić jak przebiegała. Dwie starsze panie nie wiedziały jak się do siebie zwracać, o czym mówić, co najpierw opowiedzieć. Dawno już przecież nie była ważna tamta młodzieńcza zdrada. Ale my straciłyśmy dla siebie prawie czterdzieści lat. Właściwe nie wiem jak mogło do tego dojść. Mam jedyną siostrę, przeżyłam z nią szczęśliwe dzieciństwo, a potem rozstałyśmy się na całe dorosłe życie. Nie byłam przy niej, gdy rodziła dzieci, nie pomagałam jak miała kłopoty, nie cieszyłam się z jej radości. Dziś wiem, że straciłam coś najcenniejszego w życiu. Mam o to do siebie ogromny żal.

Doszłam w tej opowieści do ostatniego epizodu, który trwa już kilka kolejnych lat. Do szczęśliwego zakończenia. Ten etap mojego życia uważam bowiem za ostatni i naprawdę szczęśliwy. Zamieszkałyśmy z siostrą w tej samej miejscowości. Każda ma swoje mieszkanie, ale nie ma dnia, byśmy do siebie nie zaglądały. Ciągle mamy sobie coś do opowiedzenia. W końcu przegadać trzeba prawie pół wieku. Pokochałam też dzieci i wnuki siostry. Nigdy nie będę już sama. Czasem tylko mam wrażenie, że siedzę w sali objazdowego kina i przeżywam jakąś wymyśloną historię. Trudno bowiem uwierzyć, że sama mogłam zrezygnować z normalnego rodzinnego życia. Może ta moja historia nauczy czegoś innych.

A dodam jeszcze, że Wojtek i moja siostra naprawdę się kochali.

Spotkanie

Moi dziadkowie w okresie międzywojennym wyjechali do Niemiec w poszukiwaniu pracy. Zabrali ze sobą dwie córki i najstarszego syna. Młodsza córka, to moja przyszła mama. W Niemczech spędzili kilka lat, ale kiedy zaczęły dochodzić wieści o możliwym wybuchu wojny, wrócili do kraju. Na obczyźnie pozostał jedynie ich syn, a więc mój wujek. I właśnie o nim słuch zaginął. Kiedy trwała wojenna zawierucha trudno było gdziekolwiek pisać, kogoś pytać, wysyłać paczki. Nikt nie wiedział dokąd wujek pojechał i czy w ogóle żyje. Dziadkowie byli przekonani, że wstąpił do wojska, walczył, może nawet zginął. Z tym przeświadczeniem odchodzili na zawsze. Najpierw zmarł dziadek, potem już w latach pięćdziesiątych, babcia.

Te czasy pamiętam. Miałam wtedy kilka lat. Kiedy dorastałam mama nieraz opowiadała mi o swoich dziecięcych latach. O pobycie na wsi, gdzie dziadkowie mieli domek, o wyjeździe do Niemiec, o swojej siostrze, która wróciła razem z nią i zamieszkała niedaleko rodzinnej miejscowości. No i o swoim bracie. O nim zawsze mówiła ze smutkiem. Powtarzała, że bardzo chciałaby zobaczyć go chociaż raz w życiu, albo wiedzieć, gdzie spoczął. Na ten temat przegadałyśmy niejeden wieczór. Wtedy wspominała również, że próbowała odszukać brata przez Czerwony Krzyż, że wiadomości jakie odbierała nie były pomyślnie, że przez lata nikt nic o nim nie wie. Po jednym z takich wieczorów postanowiłyśmy ponownie rozpocząć poszukiwania. Oczywiście znowu przez PCK, bo przecież wówczas nie było jeszcze internetu, nie miałyśmy nawet telefonu. I tak mijały kolejne lata.

Tamtego dnia nigdy nie zapomnę. Chodziłam do liceum i kiedy wróciłam po lekcjach do domu zobaczyłam mamę siedzącą przy stole i płaczącą. Byłam przekonana, że stało się coś strasznego. Mama zachowywała się jak nieprzytomna. Nie mogła nic powiedzieć, nie reagowała na moje pytania, patrzyła przed siebie. I płakała. Dopiero po paru chwilach zorientowałam się, że mama płacze ze szczęścia.

W rękach trzymała list napisany przez swojego brata. Nie rozmawiała z nim i nie widziała go ponad trzydzieści lat. Teraz czytała jego słowa.

Nie będę pisać o wszystkich przeżyciach związanych z odnalezieniem wujka, bo to bardzo osobiste sprawy mojej mamy, cioci, kuzynostwa. Każdy przeżywał to na swój sposób. Dość powiedzieć, że wujek znalazł się w Belgii, pracował w dużym gospodarstwie rolnym, był sam. Pisał wtedy do mojej mamy co kilka tygodni. W ten sposób opowiadał o swoim życiu, o tułaczce, o tęsknocie. To były trudne lata, wujek bał się wracać do kraju, był przekonany, że sprawi kłopot rodzinie, że może stać się coś złego. Nie miał kontaktów z Polakami, a wiadomości jakie dochodziły do niego nie były najlepsze. Więc pozostawał na obczyźnie, nie wiedząc, że odeszli rodzice, że siostry założyły rodziny, że ma siostrzenicę, siostrzeńców.

W jednym z listów wujek napisał nam, że także miał rodzinę. Ożenił się, urodziła im się córka. Niestety, coś im nie wyszło. Żona z córką wyjechały. Córka wyszła za mąż, zmieniła nazwisko. Nic o nich nie wiedział. Pomyślałam wtedy, że los jest dla wujka niesprawiedliwy. Dwa razy stracił w życiu najbliższych. Jest sam, bez wsparcia, bez miłości, wśród obcych mu ludzi.

Moja mama pojechała do Belgii. Spotkała brata, spędziła z nim dwa tygodnie. To były dla nich bardzo szczęśliwe dni. Dwa lata później wujek zmarł.

I w tym miejscu mogłabym zakończyć te historię, bo nie ma już mojej mamy, nie ma cioci, wujka. Odeszło tamto wojenne pokolenie. A my tęsknimy do nich, kochamy ich, wspominamy. Ale ta moja historia ma jednak ciąg dalszy. Teraz ja mam już swoją rodzinę i dorosłe dzieci. Też opowiedziałam im historię wujka i jego córki. Nieraz powtarzałam, że gdzieś w świecie żyje moja bliska kuzynka, a ja nie mam z nią żadnego kontaktu. I wyobraźcie sobie, że mój syn rozpoczął poszukiwania potomków rodziny mojej mamy, a więc także mojego wujka. To trwało kolejnych kilka lat. Poznał w tym czasie wielu dalszych krewnych, z niektórymi do dziś utrzymuje kontakt. Ale najważniejsze, że odszukał córkę wujka. Też jest w Belgii.

Już się widziałyśmy. A teraz, gdy chcemy porozmawiać siadamy po prostu przy komputerach i ślemy do siebie maile. Moja kuzynka ma trójkę dzieci. Myślę, że kiedyś poznają moje pociechy i moje wnuki. Bo to już czwarte pokolenie naszej rodziny szuka się po świecie. Jakie to szczęście, że teraz świat jest tak naprawdę w zasięgu ręki. Szkoda, że nasi rodzice nie mogli tego doświadczyć.

Michał

Od kilku lat obserwuję życie mojego kuzyna. Z jednej strony go podziwiam, z drugiej szczerze współczuję. Naprawdę nie jest mu łatwo.

Mój kuzyn Michał mieszka na wsi. Nie był i nie jest rolnikiem, bo urodził się w mieście, a na wieś trafił po ślubie, do żony. Nigdy też nie mieli ziemi i nie prowadzili gospodarstwa. Po prostu w tej wsi mieszkali, uprawiali dość duży ogród, przy domu zawsze hodowali kury, świnkę, czasem króliki. Ale do zawodowej pracy dojeżdżali do pobliskiego miasteczka. A powiem też, że ciężko pracowali fizycznie. Kuzyn na budowach, a jego żona w zakładzie, na taśmie. Pamiętam, jak chodzili na autobus przed szóstą rano i jak wracali około osiemnastej, bo wcześniejszych połączeń nie było. O samochodzie wtedy nawet pomarzyć nie mogli. To był inny, nieosiągalny dla nich świat. Żyli skromnie, może nawet biednie. Jestem pewna, że przez całe zawodowe życie ani razu nie byli na „prawdziwym" urlopie. Czasem w lecie przyjeżdżali do nas na kilka dni. A i tak wówczas moja mama płaciła im za bilet w powrotną stronę.

Często zastanawiałam się, czy Michał był zadowolony ze swojego życia. Zwłaszcza wtedy, gdy miał trzydzieści, czterdzieści lat. Był młody, silny, poza pracą na budowach niemal każdą sobotę chodził na fuchy, dorabiał. Wiem, że był zmęczony, spracowany. Ale nigdy nie narzekał. O tym, że był szczęśliwy, przekonałam się, gdy na świat przyszły jego córki. Urodziły się dwie, po roku, więc niemal jak bliźniaczki. Wtedy mój Michał chciał „góry przenosić". Jeszcze więcej pracował i jeszcze rzadziej bywał w domu. A dziewczynkami, kiedy były małe, opiekowała się sąsiadka. Na nią też musieli zarobić. No więc pytałam czasem Michała, czy jest zadowolony, czy tak miało być? On odpowiadał, że u niego na wsi, wszyscy tak żyją. Pracują, wychowują dzieci, w niedzielę idą do kościoła. Po prostu przeżywają zwyczajną codzienność. Nie zadawał sobie pytań, czy mógłby gdzie

indziej pracować, może lepiej zarabiać albo częściej bywać w domu. Nie. On przyjął ten swój los i wstawał o piątej rano, aby zarobić na dom. Zresztą jego żona także.

Kiedy więc przyjeżdżali do nas raz na kilka lat, a ja ciągle pytałam, co nowego u nich, Michał zwykle mówił, że z jego życia nie dałoby się napisać nawet jednego rozdziału książki. To samo i to samo. Obiecywał tylko, że odpocznie na emeryturze, że wtedy wyruszy w Polskę i zobaczy to wszystko, na co nie miał wcześniej czasu i pieniędzy. Razem obiecywaliśmy sobie, że odwiedzać się będziemy częściej.

Właściwie nie wiem, kiedy te wszystkie lata minęły. Starsi ludzie mówią, że „jak z bicza strzelił". Córki Michała wyprowadziły się z domu, jedna wyszła za mąż i ma swoją rodzinę, druga jest panną. Oni oczywiście dalej mieszkają na wsi, w tym samym domu, przy tym samym ogródku. Są na emeryturze. Jest im lepiej?

Obserwuję życie Michała przez ostatnie lata i dochodzę do wniosku, że los niesprawiedliwie się z nim obszedł. A zaczęło się, zanim jeszcze przeszli na emerytury. Jakoś dziwnie zaczęła się zachowywać jego żona. Ni z tego, ni z owego wsiadała do autobusu i jechała kilka przystanków, by potem pieszo wrócić do domu. Albo w niedzielny poranek zaczęła odwiedzać sąsiadów, jednego po drugim. To znowu w nocy wybiegła w piżamie na podwórze, nawet zimą. Na początku wydawało się to tylko jakąś fanaberią, ale z czasem Michał zaczął się tym niepokoić. Zmiany w jej zachowaniu zauważyli także koledzy w pracy. Mówili o tym Michałowi i szefom firmy. Wszyscy zaczęli się o nią bać.

Żona Michała miała niecały rok do emerytury, więc dotrwała do końca. Skończyła 60 lat i przestała jeździć do miasteczka. Wydawało się, że wszystko wróci do normy. Ale nie wróciło. Michał nie ma nikogo bliższego niż ja, więc o swoich problemach może mówić tylko ze mną. Teraz, gdy każdy już ma komórki i gdy połączenia nie są takie drogie, rozmawiamy bardzo często. Córek nie chce obarczać problemami, a mnie może się poradzić, czasem poskarżyć, bywało że wypłakać. Bo nie jest mu lekko. Kiedyś żona chciała zdjąć z gazu gorący garnek i poparzyła sobie

dłonie. Leczyli je kilka tygodni. Innym razem do pieca w kotłowni wrzuciła jakieś rzeczy i cały dom się zadymił. Na szczęście nie stało się najgorsze. Któregoś popołudnia sąsiedzi zobaczyli, że śpi na trawie, niedaleko ich domu. Michał nie zauważył, kiedy wyszła.

A miała być taka spokojna, szczęśliwa emerytura. Michał przeszedł na wcześniejszą o dwa lata, żeby żona nie była sama w domu. Teraz nie może z tego domu wychodzić na dłużej niż pół godziny. Tylko do sklepu, na pocztę, do kościoła. I tyle. Wyjazdy, o których kiedyś opowiadał, to dzisiaj mrzonki, marzenia. Do mnie też nie przyjedzie. Michał gotuje, sprząta, pierze. I to nie jest najtrudniejsze. Najtrudniej patrzeć na chorobę żony. Lekarze mówią, że nie będzie lepiej, że leki pozwalają jej jakoś egzystować, ale choroba już się nie cofnie. Michał nie może więc liczyć na inną codzienność. A nigdy przecież nie zostawi żony. Czy ma prawo mieć pretensje do losu?

Już nie pytam go o szczęście, o życiowe wybory, o to, czy jest zadowolony. Pytam, jak sobie radzi, w czym mu pomóc, co przesłać. Dzisiaj tak naprawdę to z każdego jego dnia napisałabym rozdział książki. Tyle że byłaby to smutna książka. Ale Michał nawet teraz nie narzeka. Ciągle jest przecież z żoną, ma córki, wnuki...

Iwonka

Zastanawiałam się, czy opowiedzieć historię mojej córki, ale ponieważ zgodziła się, pomyślałam, że będzie to jakaś lekcja dla innych.

Iwona jest jedynaczką. Można by pomyśleć, że jest rozpieszczona i rozkapryszona. Nigdy taka nie była. Dobrze się uczyła, zdała maturę, a potem jeszcze zrobiła studium pomaturalne. Ma zawód i dobrą pracę. Dla nas jest najważniejsza na świecie. Razem z mężem marzyliśmy, że założy rodzinę i zamieszka z nami. Mieszkanie zostanie przecież dla niej i dla jej przyszłych dzieci. No a my nigdy nie bylibyśmy sami. To były oczywiście nasze marzenia, a życie pokierowało nimi trochę inaczej.

Dużo prawdy jest w powiedzeniu, że miłość jest ślepa. Nasza Iwonka zakochała się bez pamięci w mężczyźnie, który nie dość, że był od niej starszy, to jeszcze samotnie wychowywał dwójkę chłopców. Był od kilku lat wdowcem i sam prowadził dom. Poznali się w pracy. To nie była miłość od pierwszego wejrzenia, bo dojrzewała niemal trzy lata. Poznawali się, najpierw chyba tylko lubili, potem pokochali. Iwona coraz częściej spędzała czas z Karolem i jego synkami. Wspólnie wyjeżdżali, niekiedy całe dnie robili dla nich jakieś niespodzianki, obiady, desery. Razem chodzili do kina. Patrzyłam jak moja córka staje się mamą. Przyznaję, że nie o takim macierzyństwie dla niej marzyłam, ale widziałam, że jest szczęśliwa.

Karol nie był złym człowiekiem. Jestem pewna, że kochał Iwonkę i wierzył, że razem może im się udać. Kiedy podjęli decyzję o ślubie mogliśmy ją tylko zaakceptować. Było oczywiste, że nie zamieszkają z nami, że nie my będziemy wychowywać wnuki i że na starość nie będziemy mieli córki przy sobie. Iwonka postanowiła zamieszkać z mężem. Karol miał duże mieszkanie, więc akurat z urządzeniem wspólnego domu nie było problemu. Chłopcy mieli swój pokój, oni swój, był jeszcze salon, kuchnia. Nie musieliśmy nawet niczego dla nich kupować.

Iwona zabrała tylko rzeczy osobiste i przeniosła się do swojej nowej rodziny. Przyznaję, że było nam ciężko. Nagle zostaliśmy sami i mieliśmy wrażenie, że córka zabrała też wszystkie uczucia. Wydawało się, że teraz kochać będzie tylko Karola i jego synków, że my znajdziemy się gdzieś na marginesie. Dziś wiem, że tak nie było, ale wtedy, to chyba nam było najtrudniej. Na szczęście Iwona była szczęśliwa.

Na początku wszystko układało się dobrze. Kiedy dzieci były małe, traktowały Iwonkę jak dobrą ciocię. Ona była zawsze jak mama. Gotowała, prała, pomagała przy lekcjach, przytuliła, gdy były chore. Po prostu normalna rodzina. Do nas też często wpadali, a to na obiad, a to do ogrodu, nawet na urlop kiedyś pojechali z nami. Czasem miałam wrażenie, że Iwonka jest zmęczona. Nie skarżyła się nie narzekała, ale to wtedy powinnam z nią częściej rozmawiać. Jeśli na wstępie powiedziałam, że historia mojej córki może być lekcją dla innych, to miałam też na myśli to, że nie można przegapić momentu, w którym zaczynają się problemy. Właśnie wtedy, po pięciu latach małżeństwa Iwonka potrzebowała wsparcia. Nie mówiła o tym nikomu, a my nie dostrzegliśmy, że dzieje się coś złego. Karol też chyba tego nie widział, bo nigdy nie nawiązał rozmowy w tej sprawie. A chodziło oczywiście o dzieci. Chłopcy mieli już po kilkanaście lat i zaczęli lekceważyć Iwonkę. Stali się nieposłuszni, wymagający, czasem kłamali. Kiedy trzeba było rozstrzygnąć jakąś sprawę Karol zawsze stawał po ich stronie. Zdarzyło się, że starszy syn poprosił, by Iwona wyprowadziła się od nich. Nawet taki sygnał Karol bagatelizował. A my dowiedzieliśmy się o tym dużo, dużo później.

Jeszcze dwa lata byli razem. Dla naszej córki, to były dwa najtrudniejsze lata. Wiem, że ciągle kochała Karola, ale w jego domu było coraz „ciaśniej". Zaczęła też wątpić w jego uczucia. Wyobrażała sobie, że wziął z nią ślub, by mieć kucharkę, sprzątaczkę, opiekunkę do dzieci. My z mężem aż tak źle nie myśleliśmy o Karolu, ale mamy do niego żal, że nie walczył o ich związek. W ich rodzinie o wszystkim zaczęły decydować dzieci, a właściwie już chłopacy. Stawali się dorośli i żadna ciocia nie była im potrzebna. A Karol okazał się słaby.

Iwonka wróciła do domu. Mogłabym powiedzieć, że jest tak jak chciałam. Mam córkę u siebie, może kiedyś będę miała wnuki. A jednak nie cieszę się z tej sytuacji. To doświadczenie bardzo zmieniło Iwonkę. Ma trochę ponad trzydzieści lat, a zamknęła się w sobie, nie szuka kontaktów z rówieśnikami, najchętniej nigdzie by nie wychodziła. Boję się, że nie uwierzy już w miłość. A to byłoby przecież najgorsze. Życie bez miłości jest puste, smutne. Żadne uczucie do rodziców nie zastąpi tego najważniejszego, do osoby, z którą chce się spędzić życie. Mam nadzieję, że nasza Iwonka spotka jeszcze kiedyś swoją drugą połówkę. My możemy ją teraz tylko wspierać i kochać. A kochamy ją bezgranicznie.

Ostatnio Iwonka coraz częściej mówi o wyjeździe. Jej przyjaciółka mieszka w mieście i obiecała znaleźć jej tam pracę. Kto wie, może to jest dobry pomysł? Do nas zawsze będzie mogła wrócić.

Tata

Bardzo często zastanawiałam się czy moja rodzina była szczęśliwa. Mówię o czasach kiedy miałam kilka lat, bo wówczas byliśmy wszyscy razem, mama, tata i ja. Oczywiście wtedy takie pytania nie przychodziły mi do głowy, bo przecież nawet nie wiedziałam, co to jest szczęście, ale zaczęłam sobie je zadawać później. Dużo później. W dzieciństwie mój dom wydawał mi się normalny.

Jedyne co wyróżniało moją rodzinę spośród innych, to fakt, że tata wyjechał do pracy za granicę. To były lata osiemdziesiąte i w naszej miejscowości trudno było znaleźć dobrze płatne zajęcie. Rodzice zdecydowali więc, że tata przez kilka lat pracować będzie w Niemczech. Pamiętam jak tłumaczyli mi, że trochę się dorobimy, że dostanę dużo ładnych rzeczy, no i że tata będzie często przyjeżdżał do domu. Na początku tak było. Rzeczywiście dostałam kilka ładnych zabawek, a kiedy poszłam do szkoły tata przysłał mi tornister pełen kolorowych przyborów szkolnych. Mama też czasem coś dostała. No i tata przysyłał pieniądze. Wiem o tym, bo mama zawsze czekała na te przesyłki.

Ale czy byli wtedy szczęśliwi?

Nawet nie wiem jak mijały kolejne lata. Tata miał wrócić po dwóch, trzech latach, a robiło się tych lat coraz więcej. Kiedy skończyłam szkołę podstawową mama już nie wspominała o powrocie taty. Coraz rzadziej o nim mówiłyśmy, a on pisał coraz krótsze listy. Dzwonił też tylko przy ważnych okazjach, świętach, imieninach, rocznicach. Wtedy to już nie był normalny dom.

Pamiętam jak mama powiedziała mi, że musi sobie znaleźć pracę, bo tata nie będzie już przysyłał pieniędzy. Rzeczywiście poszła do pracy. Od tego czasu już wiedziałam, że tata nie wróci. Mama nigdy nie mówiła o nim źle. Nie chciała go oceniać, ani usprawiedliwiać, nie dopytywała gdzie jest, co robi. Pewnie nie chciała

też wiedzieć, czy ułożył sobie życie z kimś innym. Jestem pewna, że za bardzo by to ją bolało. Uznałyśmy więc, że możemy liczyć tylko na siebie. I tak było przez następnych kilkanaście lat. Ja skończyłam szkołę średnią, zdobyłam zawód, mama doczekała emerytury.

Ale o jednym fakcie powinnam jeszcze powiedzieć. Przez te wszystkie lata byłam przekonana, że tata nie pomagał nam finansowo. Mama nieraz mówiła, że nic od niego nie chce, że sama mnie wychowa i wykształci. Żyłyśmy więc dosyć skromnie, ale nigdy niczego nam nie brakowało. Nie zastanawiałam się nawet, czy mogłabym od ojca otrzymywać jakieś pieniądze. Nie było ich i już. Dlatego wielkim szokiem było dla mnie to, że mama powiedziała mi kiedyś, iż mam sporą gotówkę. Mój tata co miesiąc wysyłał alimenty, a mama nie chciała ich od niego przyjmować więc wkładała je na konto. Nigdy nie wzięła z tego nawet złotówki. Te pieniądze zostały dla mnie. Dziś mamy już nie ma, a ja wracam pamięcią do tych miesięcy i lat, kiedy byłam sama, bez taty i bez mamy. To był najsmutniejszy okres w moim życiu. I właśnie wtedy tak często myślałam o tym, czy moi rodzice byli kiedykolwiek razem szczęśliwi. Czy byli szczęśliwi, kiedy brali ślub i kiedy ja się urodziłam. A może wtedy, gdy zdecydowali, że tata więcej zarobi i spełnią jakieś swoje marzenia? A może wówczas, gdy do siebie tęsknili?

A mówię to wszystko dlatego, że stało się coś z czym nie umiem sobie poradzić. Wkrótce skończę pięćdziesiąt lat i nagle teraz mam poznać swojego ojca. Bo tak naprawdę nigdy go nie znałam. Tato wrócił do kraju i odezwał się do mnie. Wiem, że jest sam, chociaż nie powiedział mi, czy założył drugą rodzinę. Mieszka dosyć daleko ode mnie, ale chce przyjechać, porozmawiać. Wspominać nie będziemy mieli czego, bo ja pamiętam tylko listy, czasem jakąś paczkę, rzadziej telefon. Te wspomnienia są tak dalekie, że wydają się nieprawdziwe. A ten pan, który chce do mnie przyjechać, jest prawie obcym mężczyzną. Jak go powitam, co mu powiem, co on zechce mi powiedzieć?

Nie wiem co zrobić? Żalu do ojca już nie czuję, chociaż kiedyś obiecywałam sobie, że nigdy nie wybaczę mu samotności mamy. Mama nikogo nie miała, nie wyszła za mąż, nie prowadziła życia towarzyskiego. Wiem, że była samotna. Bywało, że to ja czułam się winna, bo przecież mama została ze mną i dla mnie. Dużo później zrozumiałam, że mojej winy w tym nie było. Ale ojca? Czy o tym też powinnam mu powiedzieć? I czy w ogóle spotkać się z nim?

Jestem na tyle dorosła, że wiem iż nikt nie udzieli mi odpowiedzi na to pytanie. Decyzję muszę podjąć sama. Ale jest mi łatwiej, gdy się „wygadałam". To tak jakby słuchała mnie mama.

Ania

Córka mojej koleżanki, Ania, szukała swojego szczęścia przez prawie połowę życia. Dziś ma ponad pięćdziesiąt lat i mimo naprawdę gorzkich doświadczeń potrafi się uśmiechać. Często powtarza, że zastosowała zasadę "do trzech razy sztuka" i że się opłaciło. Może to więc dobry przykład dla kobiet, którym trudno uwierzyć, że los bywa także sprawiedliwy. Ani los w końcu dał spokojną i szczęśliwą codzienność.

A nie było tak od początku. W domu rodziców miała szczęśliwe dzieciństwo. Co prawda nie należeli do bogatych rodzin, a ona miała jeszcze dwie siostry i brata, ale niczego im nie brakowało. Moja koleżanka pracowała chałupniczo w domu, a jej mąż w zakładzie pracy. Mieli dwie pensje i po latach kupili sobie nawet mały domek na wsi. Było więc zwyczajnie, dość skromnie, ale bez biedy. Często tam u nich bywałam.

Ance marzyło się jednak samodzielne życie. Była najstarsza z rodzeństwa i bardzo chciała szybko wyjść z domu. Skończyła szkołę podstawową i zaczęła uczyć się zawodu sprzedawcy. W sklepie poznała chłopaka. Nie miała jeszcze osiemnastu lat gdy zaszła w ciążę. Twierdziła oczywiście, że kocha, że założą rodzinę i będą szczęśliwi. Koleżanka nie chciała jej zabraniać tej miłości. Chyba nawet wtedy wierzyła, że im się uda. Razem z mężem wynajęli dla nich małe mieszkanie i wyprawili wesele. Wnuczka urodziła się cztery miesiące później.

Kiedy czytałam historię o latach poniewierki młodej żony i matki, wydawało mi się że rozpoznaję w niej życie Anki z pierwszego małżeństwa. Ona także nie zdobyła zawodu, bo nie skończyła tej praktyki w sklepie. Nie miała pracy i mogła tylko liczyć na zarobki męża. Nie skarżyła się rodzicom i nie opowiadała nikomu jak jest jej ciężko. A było bardzo źle, od początku. Przede wszystkim dlatego, że mąż ją bił. O tym dowiedziałyśmy się dopiero po kilku latach, kiedy jej córeczka zaczęła zwierzać się babci. To był szok dla mojej koleżanki, która bardzo kochała Ankę. Natychmiast

chciała ją zabrać do siebie, ale Anka ciągle odkładała tę decyzję. Myślę, że liczyła, iż mąż się zmieni, poprawi. Ale doszło do nieszczęścia. W czasie jednej z awantur mąż zepchnął Ankę ze schodów. Nieprzytomną zabrali ją do szpitala. Jej mama nie pozwoliła już na to, by wróciła do tamtego domu i do męża. Zamieszkała z powrotem z rodzicami i rodzeństwem. Wtedy było ich jeszcze więcej, bo przecież Anka wprowadziła się z małą Olą. Wszyscy "świata poza nią nie widzieli".

Chyba po trzech latach Anka poznała swojego drugiego męża. To było na jakiejś wycieczce, czy wczasach. Wtedy już pracowała i z zakładu pracy zorganizowali ten wyjazd. Chłopak był przystojny, młody, bardzo kulturalny. Przyjeżdżał dość często do mojej koleżanki na wieś, ale nigdy nie zostawał dłużej niż kilka godzin. Spotykał się z Anką, spacerowali, bawili się z Olą. Chyba byli szczęśliwi. Nikt się nie dziwił, gdy postanowili się pobrać. Ślub był skromny, bo przecież tylko cywilny. I znowu ta moja koleżanka wynajęła im mieszkanie. Oczywiście płaciła za nie, bo młodzi nie zarabiali zbyt dużo. Mąż Anki pracował na wyjeździe i wracał tylko na niedzielę. Szokiem okazało się, że Anka po kilku miesiącach postanowiła się rozwieść. I, że ten rozwód dostała natychmiast, bez żadnych rozpraw, świadków, bez buntu ze strony męża. Powiedział "tak" na rozprawie, spakował swoje rzeczy i wyjechał. A ona bardzo to przeżyła.

Długo nie wiedziałam dlatego tak się stało. Teraz też nie chcę pisać o szczegółach, bo to bardzo osobiste i intymne sprawy. Powiem tylko, że ukrył przed nią chorobę, z którą nie dało się wspólnie żyć. Oszukał ją, nie wyznał prawdy, uciekał przed rozwiązaniem problemu. Tak naprawdę drugie małżeństwo Anki można było unieważnić. Ono właściwie nie istniało. Anka załamała się, uciekała od ludzi. Leczyła się psychiatrycznie. Kilka lat później zmarł jej pierwszy mąż. Została wdową. Wtedy miała zaledwie trzydzieści parę lat.

I wracam do tego powiedzenia Anki, że "do trzech razy sztuka". Właściwie Anka mogłaby już nigdy nikomu nie zaufać. Życie bardzo ją doświadczyło. Na

szczęście miała córeczkę. To Olka rozświetlała jej codzienność. No i bliscy, którzy nigdy nie zostawili jej samej. Inaczej niż tamta dziewczyna, o której pisaliście przed miesiącem. Ona nie miała wsparcia. Anka tak.

A ten trzeci raz, to spotkanie z chłopakiem, a właściwie z mężczyzną, który jeździł tirami. To on pierwszy zakochał się bez pamięci. On zabiegał o Ankę przez kilka lat. Anka bała się zaufać, nie chciała rozpoczynać życia na nowo. Ciągle pamiętała o swoich złych wyborach. Nie chciała fundować córce kolejnych smutnych dni, a może i miesięcy. Ale Karol był cierpliwy. "Chodzili z sobą", a właściwie Karol "chodził za Anką" prawie siedem lat. W końcu się pobrali.

I jak jest dzisiaj?

Moja koleżanka szczerze się uśmiecha, kiedy o to pytam. Anka jest już babcią, młodą babcią. Razem z Karolem rozpieszczają wnuka. Mieszkają na swoim, są szczęśliwi. Anka mówi, że wymazała z pamięci wszystko co złe. W końcu to było "tylko" dwadzieścia lat życia. Już ponad dziesięć jest ze swoim mężem. Zamierza doczekać z nim starości. Może przeżyją trzydzieści lat i więcej? Takie szczęśliwe zakończenia zdarzają się przecież małżeństwom. Warto w nie wierzyć. Anka poleca taki sposób patrzenia na życie wszystkim kobietom, które doświadczają złych dni. Warto spróbować drugi raz, trzeci. Na pewno trzeba o siebie walczyć.

Moja Gwiazdka

To pewnie dziwne, ale zawsze w okresie Bożego Narodzenia przypomina mi się ogród w moim rodzinnym domu. Zwykle o ogródkach mówi się latem albo wiosną, kiedy wokół robi się zielono, a ja przez tyle już lat przywołuję wspomnienia z ogrodu właśnie w grudniu. A to przez gruszę, która tam rosła i która na Gwiazdkę zawsze zmieniała się w bożonarodzeniowe drzewko. Przyznaję, że o tym ogrodzie przed laty opowiadałam moim dzieciom, a teraz już wnukom. Widocznie coś w tych opowieściach jest, skoro maluchy często proszą „Babciu, opowiedz jeszcze o ogródku".

Tuż za domem, gdzie mieszkałam, był spory kawałek ziemi, który sąsiedzi podzielili na niewielkie działki. To było może dziesięć, piętnaście grządek dla każdego. Nikt tego nie ogradzał płotem ani siatką, więc ten ogród był jakby wspólny. Na pewno do wszystkich należały ścieżki, piaskownica i kawałek udeptanego „boiska", gdzie urządzaliśmy zabawy. A było komu się tam bawić, bo w kamienicy mieszkało dziewięć rodzin. Prawie wszyscy mieli dzieci, więc kiedy zbieraliśmy się w ogrodzie, czasem było nas dwadzieścioro.

Najpierw opowiem o tej gruszy. Rosła na naszej działce i była najwyższym drzewem w ogrodzie. Gruszki nie były może najsmaczniejsze, ale mama co roku robiła z nich dżemy i kompoty. Dla dzieciaków to było drzewo - test. Każdy, kto trochę dorastał, musiał się na to drzewo wdrapać. Jeśli dosięgał ostatnich gałęzi, znaczyło, że jest już duży. Na tę gruszę wchodziły i dziewczyny, i chłopacy. Ja oczywiście też. Ale we wspomnieniach ta grusza zawsze kojarzyła mi się z Gwiazdką.

W tym miejscu muszę zamieścić pewną dygresję. Mam już skończone sześćdziesiąt lat, więc łatwo obliczyć, że moje dzieciństwo przypadało na lata pięćdziesiąte. To były trudne lata, a rodziny, w których pracował tylko ojciec,

właściwie można było zaliczyć do biednych. W tamtej kamienicy chyba wszyscy byli biedni. W ogrodzie nikt nie sadził choinek czy jakichkolwiek ozdobnych roślin, a o iglakach nawet nie wiedziano. Grządki obsadzało się warzywami, pod płotem rosły „świętojanki", a tuż przy ścieżkach owocowe drzewa. Ta bieda, a właściwie skromna codzienność, dotyczyła każdego sąsiada. No może poza jednym, który w ogródku miał altankę. Ale o tym później.

Wracam więc do gruszy. Wszystkie dzieciaki z podwórka chciały mieć jak najpiękniejszą choinkę. Ja z moim tatą jeździłam do lasu poszukać tej do domu. Nie wiem, jak to się wtedy załatwiało z leśniczym, ale bez choinki nigdy nie wracaliśmy. Lecz dzieciaki chciały mieć „swoją" wspólną, na dworze. A że nie mogliśmy jej kupić, pomyśleliśmy o najwyższej na ogródku gruszy. To z tego drzewa przez kilka lat w Wigilię robiliśmy choinkę. Najpiękniej wyglądały na niej „sople lodu". A wiecie z czego je robiliśmy? Jedna z sąsiadek podarowała nam stare prześcieradła. Pocięliśmy je na wąskie paski i z nich dziewczynki plotły długie warkocze. Do dziś pamiętam, jak „spływały" po mojej gruszce. Chłopacy dowieszali jabłka,

orzechy, jakieś plecionki z drutu. Nie było piękniejszej choinki.

Co roku przed Wigilią wspominam mój ogródek, ale tak naprawdę to wspominam dzieciństwo. Pewnie sobie je idealizuję, bo tęsknię do młodości, do bliskich, których już nie ma i do kolegów z podwórka, którzy rozbiegli się gdzieś po Polsce. Ale i tak myślę, że tamte trudne lata niosły ze sobą coś, czego nie da się zamienić na pieniądze czy na dobra, którymi otaczamy się dzisiaj. Chyba dlatego moje wnuki tak chętnie słuchają opowieści z ogródka. Czują, że było w nich jakieś ciepło.

Opowiadałam im ostatnio, jak moja mama z sąsiadkami smażyła powidła w ogrodzie. Śliwki oczywiście zrywaliśmy razem i wszyscy je drylowaliśmy, czyli usuwaliśmy pestki. Kilka wrzucało się do kotła, bo ponoć dodawały powidłom smaku. Skąd nasza sąsiadka miała taki duży gar do smażenia powideł, nie mam

pojęcia. Ale pamiętam, jak rozpalaliśmy ognisko i jak przez kilka godzin dokładaliśmy gałęzi do paleniska. A mama i sąsiadki ciągle mieszały te śliwki. Bardzo lubiłam tamte powidła.

Z tym moim ogródkiem mam też trudne wspomnienia. Tuż obok furtki znajdowała się studzienka. Na niej zawsze leżała taka drewniana podłoga, aby nie wpaść do środka. Przy studzience był płot z siatki, bo za nim jeden z sąsiadów hodował kury. Koniecznie chciałam te kury zobaczyć z bliska i weszłam na studzienkę. Pech chciał, że podłoga się zarwała. To były sekundy, jak znalazłam się w wodzie. Zdążyłam złapać siatkę od płotu i tak zawisłam, zanurzona po szyję. Kilkanaście minut wołałam o pomoc.

Kiedyś na ścieżce w ogródku urządziliśmy sklep. To nie był warzywniak, bo przecież warzyw nikt by nie kupował mając swoje, a prawdziwy sklep z towarami. Najpierw przez kilka tygodni je „produkowaliśmy". Ja robiłam poduszki na kanwie. To były wzory wypełniane wełną, krzyżykowym ściegiem. O dziwo, poduszki bardzo się podobały i sprzedałam ich kilka. Dziś wiem, że te parę złotych, które za nie dostałam, pomogły mamie dotrwać do pierwszego. Takie to były czasy. Zarabiałam też w inny sposób. Kilku sąsiadów chodziło na ryby. Potrzebowali robaków na zanętę. Kiedy padał deszcz, z wilgotnej ziemi w ogrodzie wychodziły rosówki. Zbierało się je wczesnym rankiem. Mieliśmy chociaż na cukierki.

Powiem więc jeszcze o tej altance. Stała na działce jednego z sąsiadów. Była z drewna, z szybkami ze wszystkich stron. Co kilka lat sąsiad malował ją na inny kolor. Boże, jak myśmy marzyli o takiej altance. Do tej swojej sąsiad zapraszał nas czasem, częstował tam sokiem, ciastkami. Jego córka wyprawiała w niej imieniny. Było cudownie. Ale takiej altanki nigdy nie miałam. Co z tego, że dziś mam murowaną. Zawsze tęskniłam do tamtej. A kiedy mówię o tym wnukom, wiem, że rozumieją.

Za kilka dni będzie Wigilia. Znowu przypomnę sobie moją świąteczną gruszkę. Wspominam ją jak coś najcenniejszego, mimo że tak naprawdę rodziła cierpkie owoce. Ale życzyłabym każdemu takiej gruszy. Także dzisiaj.